

NSZZ

Solidarność

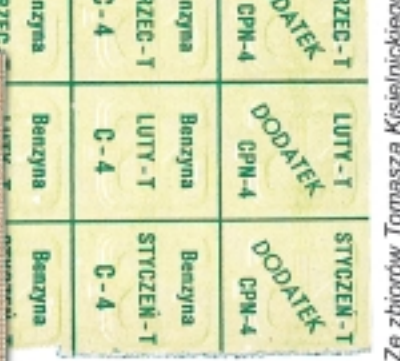
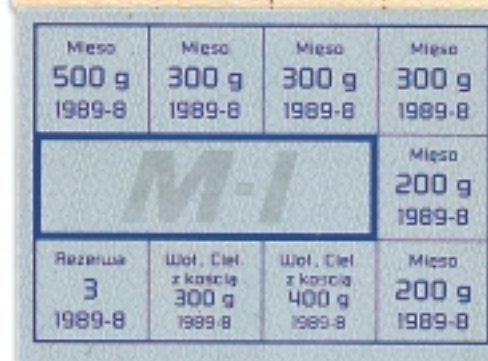
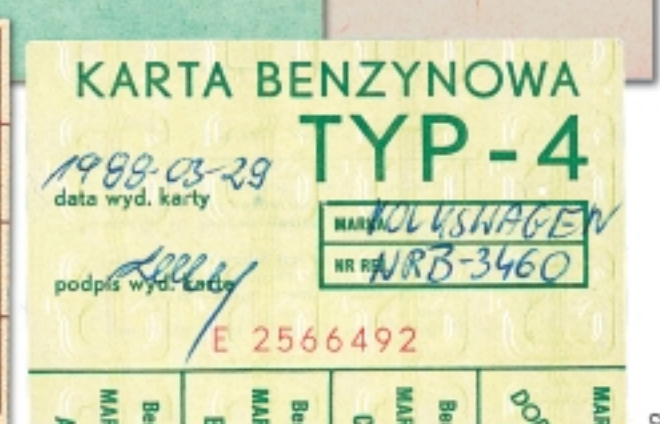
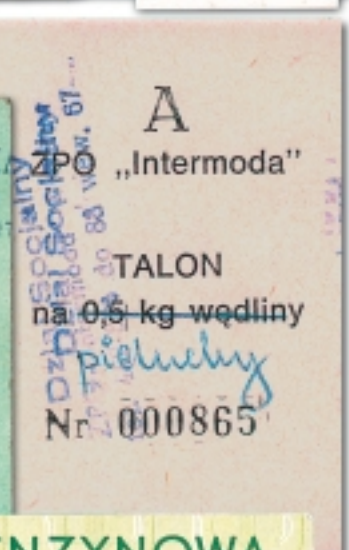
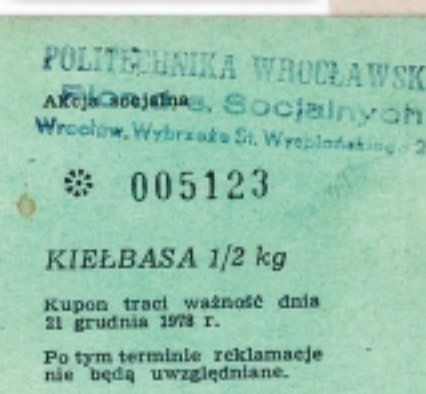
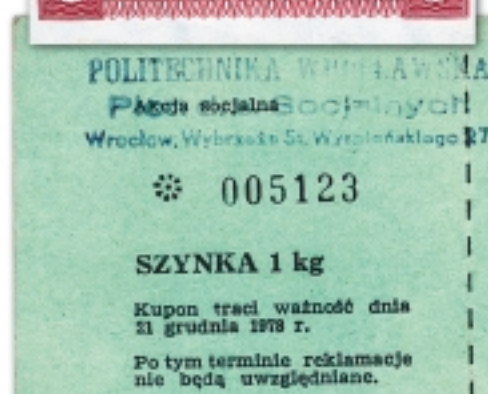
POLITECHNIKA WROCŁAWSKA • 31 SIERPNIA 2000



1980
-2000



ZA KOMUNY BYŁO LEPIEJ!



Jadwiga Szymonik

Powstanie i rozwój NSZZ „Solidarność” przy PWr w latach 1980 -1981



Jadwiga Szymonik kieruje sekretariatem Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” PWr od pierwszych dni jej istnienia.

Krótką przerwą w pełnieniu tych obowiązków miała miejsce w czasie trwania przerwanej I kadencji Sejmu RP, gdy prowadziła sekretariat posła RP z ramienia „Solidarności” Marka Muszyńskiego.

Międzyzakładowy Komitet Strajkowy powstał we Wrocławiu 26 sierpnia 1980 r. w zakładzie nr 7 przy ul. Grabiszyńskiej. Zakłady pracy Dolnego Śląska zgłaszały do niego akces.

Począwszy od 27 sierpnia pracownicy różnych jednostek organizacyjnych Politechniki Wrocławskiej organizowali nieformalne zebrania, na których informowano się wzajemnie o rozwoju sytuacji w kraju i regionie. Szczególnie oczekiwane były wiadomości z wrocławskiego MKS-u. Podejmowano próby strajku oraz oflagowano niektóre budynki. Już 4 września 1980 r. na Politechnice Wrocławskiej powstał Zespół ds. Kontaktów z Komitetem Założycielskim NSZZ (!) Dolnego Śląska, który zainicjował działania organizacyjne zmierzające do powstania Komitetu Założycielskiego.

Już z datą 3 września 1980 r. ukazała się *Informacja nr 1* określająca zasadę tworzenia Komitetu Założycielskiego: „...Komitet taki powinien powstać w wyniku tajnego wyboru przedstawicieli w poszczególnych jednostkach organizacyjnych Uczelni po przeprowadzeniu zapowiedzianego referendum”. Aby wziąć udział w tych wyborach należało:

- a) wystąpić z ZNP,
- b) zgłosić chęć przynależności do NSZZ.

Do dnia 30 października 1980 r. wybory przedstawicieli do Komitetu Założycielskiego NSZZ przeprowadzono w 51 jednostkach organizacyjnych Politechniki Wrocławskiej. Chęć przynależności do nowej organizacji zgłosiły 4192 osoby na około 7200 zatrudnionych pracowników.

Pierwsze, organizowane na początku września '80 spotkania grupy inicjacyjnej NSZZ odbywały się w budynku A-3, a spotkania Komitetu Założycielskiego – początkowo w budynku C-6. Od 28 września Komitet Założycielski pracował już wdzielonym przez Rektora jednopokojowym pomieszczeniu w budynku D-1, a od października – w trzech pokojach w D-2.

Przewodniczącym Komitetu Założycielskiego został Tomasz Wójcik, a jego członkami: Tadeusz Orłowski, Krzysztof Sosna, Krzysztof Wojtyła, Ryszard Śnieżyk, Piotr Pleniewicz, Ryszard Barański. W listopadzie Tadeusza Orłowskiego zastąpił Marek Muszyński. W tym okresie Komitet Założycielski prowadził bardzo szeroką działalność, wspomagając organizacyjnie i merytorycznie MKZ NSZZ Dolnego Śląska. Zorganizował m.in. spotkanie delegatów Komitetów Założycielskich NSZZ „S” z Prezydium MKZ. W tym czasie na Uczelni opracowano m.in. ordynację wyborczą do wyborów wewnątrz-

związkowych, która służyła do wyborów w innych zakładach pracy.

Z dnia na dzień rosła liczba członków KZ NSZZ „S” przy Politechnice Wrocławskiej. W dniu wyborów związkowych 13 grudnia 1980 r. było tu zarejestrowanych ok. 6500 członków. Zatem organizacja NSZZ „S” przy Politechnice Wrocławskiej była co do liczebności drugą (po JZS „Jelcz”) strukturą „Solidarności” na Dolnym Śląsku.

W dniu 13 grudnia 1980 r. odbyło się zebranie 225 delegatów reprezentujących 51 komisji oddziałowych. Pierwsze Walne Zebranie Delegatów wybrało przewodniczącego oraz 10-osobowe Prezydium Komisji Zakładowej.

Na pierwszego przewodniczącego wybrano Tomasza Wójcika. Wiceprzewodniczącymi zostali Tadeusz Huskowski i Marek Muszyński.

Prezydium tworzyli: Włodzimierz Bromirski, Andrzej Idzikowski, Jadwiga Kaluscha, Wojciech Myślecki, Andrzej Olszewski, Andrzej Pszonka, Zdzisław Przewoźny, Łukasz Wojewoda.

Członkowie Prezydium KZ w tym okresie zajmowali się sprawami pracowniczymi, socjalnymi oraz wszelkimi interwencjami, które były tak różnorodne, że nie sposób wszystkich wymienić (np. rozdział talonów

samochodowych, fundusz płacowy), utrzymywali też częste kontakty z Zarządem Regionu i prowadzili kolportaż wydawnictw niezależnych.

KZ starała się zaspokajać zapotrzebowanie na niezależną informację. Zaopatrywała związkowców (a tym samym ogół zainteresowanych) w niezależne publikacje sprowadzane z całego kraju. W działalność tę spontanicznie zaangażowało się bardzo wiele osób, także szeregowych członków związku i studentów, którzy w wyładowanych plecakach wozili literaturę z drugiego końca Polski. A przecież w czasach PRL za kolportaż niezależnego słowa w każdej chwili mogło grozić zatrzymanie, a nawet aresztowanie. Przykładów tego było bardzo wiele.

W początkach organizowania się „Solidarności” studenci aktywnie wspierali nowy związek. Wkrótce podjęli też działania na rzecz stworzenia własnej organizacji: 2 października 1980 r. w auli Politechniki Wrocławskiej odbył się wiec studentów z udziałem przedstawicieli KZ NSZZ „S”. Powołano na nim Tymczasowy Komitet Założycielski Niezależnego Samorządnego Związku Studentów (późniejszego NZS-u). Walka studentów o oficjalną rejestrację ich zrzeszenia toczyła się aż do 1989 r. Brak rejestracji nie zniechęcił młodych ludzi do działalności, a

Przewodniczący Marian Krzaklewski pozuje do zdjęcia z paniami z sekretariatu KZ. Od lewej stoją panie Jadwiga Szymonik, Elżbieta Lipka i Ewa Pająk.



szczególnie zasłużyli się w okresie stanu wojennego.

Chcąc sprostać ogromnemu zapotrzebowaniu członków związku na niezależną literaturę Prezydium KZ podjęło decyzję o uruchomieniu własnego wydawnictwa Odpowiedzialnymi za zorganizowanie byli wiceprzewodniczący Ma-

rek Muszyński i pracująca w KZ Jadwiga Szymonik. Nie zdążyło się ono w pełni rozwinąć z powodu wprowadzenia stanu wojennego.

Codzienna praca bardzo często była zakłócana prowokowanymi przez władzę wydarzeniami o zasięgu lokalnym lub krajowym (np. wydarzenia bydgoskie, aresztowanie Narożniaka, aresztowanie Kornela Morawieckiego zatrzymanie radia „Solidarność”, konflikt wokół rejestracji związku, wydarzenia radomskie itp.). Powodowało to niejednokrotnie stawianie w gotowość strajkową całej krajowej bądź regionalnej struktury związku. Na „Solidarności” Politechniki Wrocławskiej, jako jednej z najsilniejszej w regionie, spoczywały w takich przypadkach szczególne obowiązki np. w czasie tzw. wydarzeń bydgoskich gdzie na Politechnice Wrocławskiej powstało rezerwowe centrum kierowania strajkiem regionalnym.

W ostatnich miesiącach 1981 r. napięcie w kraju ustawicznie rosło. Coraz wyraźniej widoczne było, że władza dąży do rozwiązań konfrontacyjnych. Środowisko akademickie w Polsce szczególnie poruszone zostało sprawą niedemokratycznego mianowania Rektora w WSI w Radomiu oraz rozbićciem strajku w WSOP w Warszawie.

W dniach 11-12 grudnia 1981 r. w Gdańsku odbyło się posiedzenie Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”, po którym społeczeństwo oczekiwało uspokojenia sytuacji w kraju. Tymczasem w nocy z 12 na 13 grudnia władze rozpoczęły aresztowania czołowych działaczy Związku. Tak rozpoczął się w Polsce stan wojenny. W niedzielę 13 grudnia 1981 r. w lokalu KZ „S” w budynku D-1 zebrało się Prezydium KZ celem oceny sytuacji. Postanowiono wtedy powołać Komitet Strajkowy i od godz. 16 rozpocząć wspólny strajk okupacyjny na Politechnice Wrocławskiej. O godz. 15⁰⁰ w gabinecie Rektora spotkały się władze Uczelni, prezydium KZ i prezydium NZS. Wybrano Uczelniany Komitet Strajkowy oraz przyjęto zasady prowadzenia strajku.

Komitet Strajkowy stanowili: Marek Muszyński – przewodniczący, Bernard Afeltowicz – przedstawiciel studentów, Andrzej

Wiszniewski (ówczesny prorektor) – władze uczelni.

Zdając sobie sprawę z ogromnego niebezpieczeństwa grożącego strajkującym przyjęto zasadę całkowitej dobrowolności uczestnictwa w strajku.

Strajk okupacyjny prowadzono w dwóch miejscach: w kompleksie Gmachu Głównego (budynek A) oraz w budynku D-1. Liczba pracowników i studentów podejmujących strajk okupacyjny ciągle rosła.

Strajkujący spotkali się z ogromną sympatią i wsparciem społeczeństwa. Przynoszono strajkującym żywność, co w chudych „kartkowych czasach” było przejawem dużej ofiarności. Odprawiano Mszę Świętą w budynku D-1. Komitet Strajkowy na Politechnice Wrocławskiej miał ciągłą łączność z Regionalnym Komitetem Strajkowym (RKS), a nawet innymi miastami w Polsce poprzez łączników studentów. Wykorzystując bazę sprzętową drukowano oświadczenia i komunikaty RKS-u oraz dostępne informacje o sytuacji w kraju

Strajk okupacyjny – protest przeciwko zamachowi stanu rozpoczął się na Politechnice Wrocławskiej dnia 13 grudnia 1981 r. o godz. 16 (strajkowało około 200 studentów i 40 pracowników).

W nocy z 14 na 15 grudnia ok. godz. 0⁵⁰ na teren Politechniki Wrocławskiej wtargnął oddział ZOMO i SB brutalnie bijąc pracowników (w tym Rektora) i studentów. Podczas pacyfikacji zmarł tragicznie pan Tadeusz Kostecki, pracownik wodociągów strajkujący wspólnie z pracownikami i studentami Politechniki. W momencie rozbićcia strajku uczestniczyło w nim już około 800 studentów i 300 pracowników. W bud. D-1 strajk trwał do godz. 10⁰⁰ (nie było pacyfikacji). Strajk ten przerwano na apel m.in. rektora prof. Tadeusza Zipsersa i prorektora prof. Andrzeja Wiszniewskiego.

Należy podkreślić, że organizacja zakładowa NSZZ „Solidarność” jako jedyna spośród organizacji związkowych „Solidarności” na uczelniach wyższych Wrocławia podjęła czynną akcję strajkową.

Ta aktywna postawa nie ustała w następnych latach. □

Rozmowa z prof. Andrzejem Mulakiem, rektorem Politechniki Wrocławskiej

Samorządny, Niepodległy



Andrzej Mulak, prof. dr hab. inż., 64 lata, był pierwszym przewodniczącym Komisji Oddziałowej NSZZ „Solidarność” w Instytucie Technologi Elektronowej PWr. Rektor PWr od 1996 r., członek Prezydium KRASP, wiceprzewodniczący KRPUT.

– Jak pamięta Pan Rektor sierpień sprzed 20 lat?

– Jak wielu innych, kiedy zaczęły się strajki na Wybrzeżu, byłem na wakacjach. Moja sytuacja była o tyle nietypowa, że wakacje spędzam od lat w tej samej nadmorskiej okolicy, jestem tam zadomowiony. Mogłem więc patrzeć na narastanie nastrojów strajkowych. W „naszej” okolicy strajkowała stocznia w Ustce. Ten duch protestu, który ożył na naszych oczach, wciągnął i nas. Jechałem do Wrocławia z pragnieniem przeniesienia na teren Dolnego Śląska, czy też wsparcia analogicznych działań. Nikt, oczywiście, nie wiedział dokładnie, jak dalece da się uruchomić zmiany wynikające z Porozumień Gdańskich, ale skala społecznej determinacji, którą się wyczuwało, była ogromna.

– Czy oczekiwał Pan we Wrocławiu atmosfery równie gorącej, jak na Wybrzeżu?

– Wrocław miał swoje tradycje protestów. Moje pierwsze wspomnienia tego typu dotyczą pochodu, jaki odbył się w 1956 roku. Był spontaniczną manifestacją nastrojów społecznych tamtego okresu, a miejscem, z którego

wyruszone, była właśnie Politechnika. W naszej pamięci żywe były studenckie strajki 1968 roku. Uczelnia miała również swoje niezależne autorytety moralne, które może najlepiej symbolizuje postać prof. Mariana Sułkiego.

– A sięgając w mniej odległą przeszłość – do marca 1980 roku – czy zwrócił Pan uwagę na zmiany zachodzące w ZNP?

– Tak, to były znamienne świadectwa potrzeby osiągnięcia podmiotowości. To ciekawe, że tutaj też wykorzystano forum organizacji związkowej. Przynależność związkowa nie wymagała tak jednoznacznego zadeklarowania się politycznego, jak gdzie indziej. Używając stylistyki z tamtej epoki można powiedzieć, że byli tu „wierzący i niewierzący”.

– Ale wróćmy do sierpnia 1980 roku. Co Pan zastał we Wrocławiu?

– Środowisko Politechniki Wrocławskiej zdecydowanie było zainteresowane przemianami. Niektórzy już zdążyli zaangażować się w prace Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, jaki działał w zajezdni tramwajowej przy ul. Grabiszyńskiej, inni starali się zorganizować zebranie Rady Zakładowej ZNP.

– A Pan?

– Włączyłem się w działania grupy, która zebrała się najpierw na Wydziale Chemicznym. Chyba 1 września doszło po raz pierwszy do stwierdzenia, że zostaną podjęte kroki dla utworzenia lokalnej struktury samodzielnego niezależnego związku, który nie był wtedy jeszcze określany jako „Solidarność”. Wkrótce potem znalazłem się w pięcioosobowym zespole powołanym w celu przeprowadzenia referendum w poszczególnych jednostkach organizacyjnych Uczelni. Miało ono – jak to wtedy formułowano – doprowadzić do samookreślenia się społeczności PWr w sprawie przynależności do samorządnych związków zawodowych.

– Na czym polegało referendum?

– Pracownicy mieli odpowiedzieć na pytanie, czy zamierzają wstąpić (lub już wstąpili) do Samorządnych Niezależnych Związków Zawodowych zarejestrowanych w Komitecie Założycielskim NSZZ Dolnego Śląska. Oczywiście chcieli. W tamtych czasach nie było kłopotów z frekwencją na zebraniach. Wzięła w nich udział ogromna większość pracowników – około trzech czwartych. Wszyscy oni, poza nielicznymi wyjątkami, deklarowali chęć zapisania się do nowej organizacji związkowej wyczuwając słusznie, że będzie to coś znacznie większego niż związek zawodowy – obszar realizacji zaczątków niepodległości.

– Pan Profesor zaangażował się również w działalność związkową.

– Mój instytut (I-25) noszący wtedy nazwę Instytutu Technologii Elektronowej tworzył wraz z przyłączonym Ośrodkiem Badawczo-Rozwojowym Elektroniki Próżniowej tzw. centrum uczelniano-przemysłowe, które w sumie zatrudniało 280 osób. Taka kadra plus prowadzona tu działalność produkcyjna to był wręcz niezły zakład pracy. Aż 220

pracowników zadeklarowało chęć przynależności do NSZZ. W wyniku zebrania (chyba na początku października) powołano siedmioosobową komisję oddziałową, której przewodniczącym zostałem ja.

Ponieważ struktura instytutu była nietypowa dla uczelni, mieliśmy wiele problemów pracowniczych, w tym kwestię stawek, zaseregowań, no i masę postulatów, które były wtedy bardzo popularne. Dotyczyły m.in. dydaktyki, współpracy z przemysłem, roli rady naukowo-dydaktycznej i wielu innych spraw, wśród których szczególnie istotne dla Politechniki było żądanie wprowadzenia samorządności uczelni.

– Ten postulat był chyba popierany przez całe środowisko akademickie.

– Tak, dlatego uczelnie dość szybko podjęły działania w kierunku rzeczywistego „wybicia się na niepodległość”. Już wiosną mieliśmy właściwie wolne wybory władz Politechniki.

– Dziękuję Panu za rozmowę.

Rozmawiała Maria Kiszka

Aula Politechniki Wrocławskiej – obradują delegaci



Andrzej Wiszniewski

Co nam zostało z tych lat?



Andrzej Wiszniewski, lat 65, prof dr hab. inż. elektryk, rektor Politechniki Wrocławskiej w latach 1991–96.

W 1980 r. został prorektorem PWR. Po wprowadzeniu stanu wojennego był internowany, a następnie postawiony w stan oskarżenia za przynależność do Komitetu Strajkowego na Politechnice Wrocławskiej w dniach 13-14 grudnia 1981. Działacz struktur podziemnych „Solidarności”.

Od roku 1997 pełni funkcje przewodniczącego KBN. W 1999 mianowany został Ministrem Nauki w rządzie Jerzego Buzka.

Nie wierzyłem w zwycięstwo **Solidarności** wówczas, gdy jeszcze nie była **Solidarnością**. A zresztą, dlaczego miałem wierzyć? Nadzieja zawiodła mnie i w roku 1956, i w roku 1968, a rok 1980 zdawał się być tylko powtórką z tych dat. Dlatego w połowie sierpnia 1980 pojechałem na urlop, a gdy wróciłem w pierwszej dekadzie września, **Solidarność** już istniała. I znowu pomyślałem: „a może?”. Wypełniając deklarację nie wiedziałem, że będzie to związek na dobre i złe, że będzie to związek na całe życie. Jak brzmi ta formuła: „...że cię nie opuszczę aż do śmierci”?

Na Politechnice Wrocławskiej do **Solidarności** wstępowano masowo, ale wśród pro-

fesury – a miałem już wówczas 8-letni profesorski staż – było niemało rezerwy. Dlatego pewnie zaproponowano mi, aby kandydować na stanowisko Przewodniczącego Komisji Zakładowej przeciw współzałożycielowi Komitetu Założycielskiego, a dziś memu wielkiemu przyjacielowi, Tomaszowi Wójcikowi. Na początku wyraziłem nawet zgodę, ale potem zląkłem się porażki – zresztą niemal pewnej – i zrezygnowałem. Zamiast mnie kandydował śp. Tadeusz Huskowski. Przegrał, został wiceprzewodniczącym Komisji Zakładowej, a ten zespół: Wójcik-Huskowski, okazał się znakomitą kierownictwem politechnicznego Związku Zawodowego. Ja po trosze uczestniczyłem w pracach Ogólnopolskiego Komitetu Pracowników Nauki, ale nie miałem z tej pracy zbytnej satysfakcji.

Zresztą muszę dziś przyznać, że w **Solidarności** wiele rzeczy mnie raziło. Populizm, arogancja – niekiedy granicząca ze zwyczajnym chamstwem, pojawianie się na scenie ludzi, z których wielu bardzo źle oceniałem... Stan wojenny, który ogłoszono w kilkanaście miesięcy później, zweryfikował wiele tych postaw. Ale to przyszło później.

W międzyczasie, w lutym 1981, był strajk studencki uczelni łódzkich, wraz z solidarnościowymi protestami w całej Polsce, także we Wrocławiu. Byłem w Łodzi i wspominam to z niesmakiem. Bowiem obydwie skonfliktowane strony zachowywały się bardzo brutalnie. I wcale tak nie było, że racje leżały tylko po jednej stronie. Pomyślałem wtedy, że rewolucjoniści wcale tak bardzo się nie różnią od swych przeciwników. Strajk skończył się przyjęciem przez studentów i Ministerstwo tzw. „porozumienia łódzkiego” szybko przez złośliwców nazwanego łódzkim nieporozumieniem. Jedno z ustaleń dotyczyło składu senatów i rad wydziałów, które miały tworzyć równe (po 1/3) reprezentacje profesorów, pracowników pomocniczych i studentów. Pamiętam, wracałem z Łodzi po-

ciągami z młodym politechnicznym matematykiem jakimś Janem Waszkiewiczem. To wtedy poznałem dzisiejszego Marszałka Dolnośląskiego.

Wiosną 1981 wybrano mnie dziekanem Wydziału Elektrycznego. Ale nie nacieszyłem się tym stanowiskiem. Wybrany rektorem – po wspaniałej prezentacji wyborczej – prof. Tadeusz Zipser zaproponował mi stanowisko swego pierwszego zastępcy, prorektora d.s. nauki i współpracy z przemysłem. Pozostałymi prorektorami byli: prof. Daniel Bem (dydaktyka) i prof. Otton Dąbrowski (współpraca z zagranicą). Doradcą Rektora był dr Wojciech Myślecki (oj, ileż mieliśmy z nim kłopotów, choć to wspaniały człowiek).

Wówczas były politechniczny establishment uważał, że ci nowi ludzie nie będą zdolni kierować Uczelnią. Jakąż to motywację stwarzało! Korzystając z niezwykle pomocy państwa z Kwestury i działu współpracy z przemysłem przeszedłem przyspieszony kurs finansowania uczelni. Zrozumiałem wówczas rzecz niezwykle ważną, a mianowicie: obieg pieniądza. I wówczas zabrałem się do kierowania gospodarką Uczelni, w której to dziedzinie Rektor dał mi wolną rękę. I, jak Boga kocham, nieźle mi to szło, między innymi dzięki temu, że ogromna większość pracowników okazywała mi wielką pomoc. A im lepiej mi szło, tym ta pomoc była większa. Bowiem ludzie zaczęli wierzyć, że nam się uda. I właśnie dlatego, że nam się udawało, po kilku miesiącach wprowadzono stan wojenny.

Władze szybko rozumiały, że uczelnie stały się potęgą zarówno gospodarczą, jak i opiniotwórczą. Pamiętam reakcję sekretarza KW PZPR z Jeleniej Góry, gdy posiadaną przez filię politechniczną starą maszynę drukarską przekazałem tamtejszej **Solidarności**. Ten człowiek nie był w stanie zrozumieć, gdy mu powiedziałem, że to ja decyduję i że ta decyzja jest ostateczna. Do dziś pamiętam, jak bełkotliwie krzyczał do telefonicznej słuchawki.

A na Politechnice też można było poznać ludzkie charaktery. Odchodzący Rektor prof. B. Kędzia ostatniego dnia czerwca wyszedł z gabinetu i żegnając się w korytarzu z prof.

T. Zipserem dał mu klucz do drzwi, nie przekazując niczego. Natomiast prorektor d.s. nauki i współpracy z przemysłem, prof. W. Kasprzak, trwał na swym stanowisku do ostatniego dnia sierpnia i przekazał mi swą działkę we wzorowym porządku i we wzorowy sposób. Bardzo to doceniłem.

W ten sposób podczas inauguracji Roku Akademickiego 1981/82 stałem na podium ubrany w prorektorską togę. I rozpocząłem urzędowanie. Pamiętam, zdarzały się sytuacje prześmieszne. Oto jedna z nich. Rektor był z urzędu dowódcą politechnicznej Obrony Cywilnej, a ja go zastępowałem. Pamiętam, jak w rektorskim gabinecie wprowadzał nas w tajniki obronne szef politechnicznej komórki wojskowej. Rozłożył na stole plany i z bardzo poważną miną powiedział: „Otóż, Panie Rektorze, wybuch jądrowy nastąpi nad Mostem Grunwaldzkim.” Prof. Zipser zastanowił się chwilę i spytał: „A czy to zostało uzgodnione z przeciwnikiem?”

Gospodarka Politechniki w ogromnej mierze zależała od zleceń z przemysłu, a te kurczyły się w oczach. Trzeba było szukać oszczędności. Jedną z pierwszych była likwidacja filii w Kłodzku. Ponadto musiałem wprowadzić szereg dość drastycznych zarządzeń dotyczących wydatków. Ale już po pierwszym miesiącu rozumiałem, że nie będzie bankructwa, że finansowo damy sobie radę. I że nadzieje partyjnych na naszą administracyjną kompromitację nie spełnią się w najmniejszym stopniu.

Powstał wówczas ciekawy układ. Władza polityczna i gospodarcza były w rękach PZPR-owców, a jedynym wyjątkiem były uczelnie, gdzie dokonano demokratycznych wyborów i władza znalazła się w rękach zdecydowanych antykomunistów. Atak nastąpił szybko, poprzez prowokowanie studenckich protestów. Już w listopadzie zastrajkowali studenci z WSI Radom, protestując przeciw rektorowi tej uczelni prof. Hebdzie. To prawda, że był to człowiek z PZPR-owskiego rozdania. Ale został wybrany w demokratycznej procedurze. Zaś wezwanie studentów z całej Polski do solidarnego poparcia było chyba zaplanowaną przez komunistów prowokacją. Bowiem powszechny strajk stu-

dencki był w gruncie rzeczy skierowany przeciw tej kruchej strukturze, jaką byli demokratycznie wybrani, antykomunistyczni rektorzy. Władze partyjne zacierały ręce widząc, jak szamoczymy się z protestującymi studentami. Piekli dwie pieczenie przy jednym ogniu. Po pierwsze stwarzali wrażenie całkowitego chaosu, za który to obwiniali **Solidarność** i NZS, po drugie uderzali w tych, którzy przejąwszy władzę od komunistów starali się skutecznie ją sprawować.

Strajk Radomski nie wystarczał komunistycznym prowokatorom. Postarali się o kryzys w warszawskiej Wyższej Szkole Pożarnictwa. Politechnika Wrocławska była bardzo czynna w usiłowaniach stłumienia obydwu tych paskudnych prowokacji. Zapropo-

nowaliśmy polityczne, kompromisowe rozwiązanie obydwu konfliktów, włącznie z gotowością przyjęcia wszystkich studentów pożarnictwa na uczelnie wrocławską. Ponieważ strajk studencki sparaliżował całą Polskę, pertraktowałem w tej sprawie z członkiem Rady Państwa prof. Szczepańskim. Bardzo życzliwie odniósł się do moich propozycji. Aż pewnego dnia jego sekretarka przestała łączyć moje telefony. Zrozumiałem, że decyzja polityczna jest dla moich pomysłów niekorzystna.

Natomiast w konflikt radomski czynnie włączyła się Ogólnopolska Konferencja Rektorów, której wówczas przewodniczył zmarły niedawno prof. Janusz Ziółkowski z Poznania. Przyjęła na siebie rolę mediatora i

Pierwszy demokratycznie wybrany rektor PWr prof. Tadeusz Zipser



uzyskała zgodę obydwu skonfliktowanych w Radomiu stron, że przyjmą rozwiązanie zaproponowane przez Rektorów. Dzięki temu w poszczególnych polskich uczelniach strajki kończono. Na Politechnice Wrocławskiej także. Ja w zastępstwie prof. Zipsersa uczestniczyłem w działaniach ogólnopolskiego Kolegium Rektorów Uczelni Technicznych, które to gremium miało już w Radomiu dokończyć sprawę ugody. Spotkał się w Łodzi dzień przed planowanym wyjazdem do Radomia. I nagle otrzymaliśmy teleks od zwolenników prof. Hebdy, który w sposób głęboko obraźliwy negował nasze moralne prawo zajmowania się tym sporem. Zrozumieliśmy, że musiało się wydarzyć coś, co zmieniło taktykę władz. Myślałem o tym jadąc samochodem z Łodzi do Wrocławia. Był piątek 11 grudnia 1981. Do chwili ogłoszenia stanu wojennego pozostał mniej niż 48 godzin. □

Jan Waszkiewicz

Tamten Sierpień



Jan Waszkiewicz, lat 56, profesor Politechniki Wrocławskiej w dziedzinie komunikacji społecznej.

Od 1977 r. czynny w opozycji demokratycznej. W 1979 r. współtworzył „Biuletyn Dolnośląski”. W 1981 r. został członkiem Prezydium Zarządu Regionu Dolny Śląsk, a od listopada również członkiem Prezydium Komisji Krajowej „Solidarności”.

W dniach 13–16 grudnia 1981 r. współkierował strajkiem w Stoczni Gdańskiej, w wyniku czego został aresztowany i był sądzony w Gdańsku. Delegat na II Krajowy Zjazd „Solidarności”.

Obecnie piastuje stanowisko Marszałka Sejmiku Samorządowego Województwa Dolnośląskiego.

Tamten pamiętny miesiąc to dla mnie kilka różnych odsłon. Pierwsze dwa tygodnie to wczasy pracownicze w ośrodku czasowym na Kaszubach. Mimo oderwania od życia (radio, telewizja, gazety nie informowały o niczym istotnym, *Wolna Europa* była wyjątkowo źle słyszalna), co nieco do nas docierało. Wiele dyskutowaliśmy o sytuacji, która przecież rozwijała się od tygodni. Jako redaktor *Biuletynu Dolnośląskiego* o wielu przejawach niezadowolenia i niepokoju byłem niezłe poinformowany. Toteż kolejne podobne wiadomości nie dziwiły. Wracaliśmy 14 lub 15 sierpnia. W Gdyni, gdzie była

przesiadka, dowiedzieliśmy się, że jest strajk w Stoczni Gdańskiej – i nie tylko. „Stopniowo staje cały Gdańsk” – ktoś powiedział. Ale szczegóły miały dotrzeć znacznie później.

Po powrocie włączyłem się do gorączkowej aktywności. Fala strajków dotarła (a właściwie powróciła) na Dolny Śląsk i do samego Wrocławia. Zbieraliśmy informacje o kolejnych wydarzeniach. Aspa, IASE – te zakłady strajkowały tuż przed moim powrotem. Tuż po nim były oleśnickie ZNTK i kolejne zakłady pracy. Jednak wszystkie te strajki były krótkotrwałe i podejmowane bez żadnego powiązania z innymi. Tymczasem z Gdańska dochodziły coraz ważniejsze informacje: ukonstytuował się komitet strajkowy o regionalnym zasięgu, znane były nazwiska przywódców, mówiło się o wysuwanych postulatach... W tej sytuacji 19 sierpnia redakcja *Biuletynu Dolnośląskiego* (Kornel Morawiecki, Romek Lazarowicz i ja) wydała ulotkę, w której wzywaliśmy Dolnoślązaków do solidarności z Wybrzeżem, do organizowania się dla „obrony robotniczych postulatów i tych, którzy je głoszą”. Z powodu wakacji nie mieliśmy zbyt wielu pomocników do rozrzucania ulotek (zwykle robili to przede wszystkim uczniowie i studenci). Jakiś fragment tej roboty wykonywałem sam. Nie powiem, to było całkiem łatwe. Część sypnąłem w PDT, część z dachu domu na pl. Grunwaldzkim... Skutkiem wolałem się nie przyglądać. Kolejny apel wystosowała cała wrocławska opozycja. W sobotę 23 sierpnia zeszliśmy się w mieszkaniu śp. prof. Mirosławy Chamcówny i przez wiele godzin dyskutowaliśmy, a potem dobierali słowa. Trzeba było zareagować na to, co działo się w kraju, oddać poglądy bardzo różnych partnerów, zaapelować i do władz, i do społeczeństwa... Dalej idący apel wystosowaliśmy nazajutrz w mniejszym gronie. Tekst uzgodniliśmy z kolegami z Klubu Samoobrony Społecznej. Ty razem też wzywaliśmy do solidarności z Wybrzeżem i powtarzaliśmy hasło z naszej poprzedniej ulotki (ONI NIE SĄ I NIGDY NIE BĘDĄ SAMI), ale też wzywaliśmy do podjęcia solidarnościowych strajków.

Ulotki te rozsypywane były w poniedziałek 25 sierpnia. Toteż gdy 26 sierpnia wybuchł

strajk we wrocławskim MPK, a następnie w kolejnych zakładach, trudno było się oprzeć wrażeniu, że jakoś się do tego przyczyniliśmy. Sprawdziłem na miejscu, że inicjatorzy strajku nie mieli w rękę naszych ulotek i... odetchnąłem z ulgą (nikt nie wiedział, jak to się skończy i wołałem nie mieć tego na sumieniu).

Po południu we wtorek 26 sierpnia wpadłem do domu profesora Dudy, by podzielić się z nim informacjami o tym, co się działo w mieście. potem jego samochodem (syrenką) razem z prof. Chamcówną, udaliśmy się do zajezdni przy ul. Grabiszyńskiej, aby okazać solidarność strajkującym robotnikom, zawieźć im trochę papieru (towar wówczas bardzo deficytowy!). W zajezdni zostaliśmy powitani entuzjastycznie. Nie byliśmy pierwszymi opozycjonistami. Tomek Wacko prowadził już strajkową drukarnię, był Piotr Starzyński, Kornel Morawiecki pojawiał się i zniknął, a chwilę po nas pojawiła się delegacja wolnych związków zawodowych. Na naszych oczach strajk rozszerzał się. Komitet Strajkowy przyjmował kolejne delegacje zakładów przyłączających się. Toczyła się też dyskusja nad dalszą formułą strajku i sformułowaniem postulatów Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. Włączyłem się do dyskusji i zaapelowałem, by nie wysyłać własnych postulatów, a poprzestać na powtórzeniu gdańskich. Taka formuła została ostatecznie przyjęta. Pożegnałem przyjaciół, którzy odjechali, by zorganizować m.in. strajkującym pomoc prawną i pozostałem na miejscu, by pomóc w redagowaniu komunikatu (robiłem to – o ile pamiętam – z Hubertem Hanu-

siakiem i Czesławem Stawickim). Późnym wieczorem komunikat ten odczytałem strajkującym w jednej z hal zajezdni. Stałem na jakimś rusztowaniu ponad innymi, słuchającymi uważnie i wpatrzonymi we mnie...

W zajezdni spędziłem całą noc. Było momentami dość nieprzyjemnie. Czuło się otaczającą nas przemoc, a zajezdnia – to nie stocznia! Odetchnęliśmy rankiem, kiedy koło zajezdni pojawili się ludzie – najpierw strumyk, potem rzeka ludzi idących do pracy. Nieco zaspanych, nieco zdenerwowanych, czy może obawiających się kontaktu z nami, w bramie zajezdni rozdającymi komunikaty strajkowe. Ale teksty brali. Jasne więc było, że strajk będzie miał ciąg dalszy, nawet gdyby coś się tu przytrafiło...

Po powrocie do domu (wykąpaniu się) spotkałem się z profesorami Dudą i Hartmanem, by wystylizować list z poparciem dla strajkujących ze strony intelektualistów. nadaliśmy mu kształt apelu do władz o zachowanie spokoju, uwolnienie zatrzymanych, dialog ze społeczeństwem... Po skończeniu tej pracy mogłem pójść spać. Podpisy zbierali inni.

Nazajutrz, w podobnym jak poprzednio składzie, pojawiliśmy się znów w zajezdni. Odczytaliśmy apel, zostawiliśmy przywiezioną pomoc, porozmawialiśmy i pojechaliśmy w stronę miasta. Jeszcze przed placem PKWN (obecnie pl. Legionów) zatrzymano nas i aresztowano. Kolejne półtora doby przyszło nam spędzić w areszcie, z którego zwolniono nas pod wyraźnym naciskiem strajkujących w Gdańsku. Po wypuszczeniu udałem się do domu, miałem też do załatwienia kil-

ka spraw (w tym – odmłodowanie się w miejscu pracy). Do zajezdni chciałem wrócić po południu. Niestety wcześniej założono mi areszt domowy – całe otoczenie domu szczelnie obstawili tajnicy. Areszt ten zdjęto po podpisaniu gdańskich porozumień, w niedzielę 31 sierpnia.

Ale ciąg dalszy to już kolejny pamiętny miesiąc. □



Ludomir Jankowski

Moim zdaniem bilans jest dodatni



Ludomir Jankowski, lat 49, dr inż. mechanik, nauczyciel akademicki, adiunkt w Instytucie Konstrukcji i Eksploatacji Maszyn. Od 1996 roku Prorektor ds. Ogólnych PWR.

W związku pełnił funkcje członka Komisji Oddziałowej i Komisji Zakładowej od roku 1980. Współzałożyciel i współredaktor pisma związkowego „Informacje” ukazującego się w 1981 r. Działacz struktur podziemnych „S”. Po 1989 r. członek Komisji Zakładowej i delegat na Zakładowe Zebranie Delegatów PWR., delegat na WZD Regionu, na IV WZD regionu wybrany do RKR.

Poproszony o napisanie przysłowiowych „kilku słów” wspomnień z okazji obchodzonej dwudziestej rocznicy powstania „Solidarności” nieopatrznie wyraziłem zgodę. Nie przewidziałem, jak trudne to zadanie. Bo przecież 20 lat to jedno pokolenie, co uświadamia mi codziennie młodsza córka – rocznik 1981.

Taki dystans czasem wyzwała skłonność do interpretowania zdarzeń sprzed lat przez pryzmat dwudziestoletniego doświadczenia. A jeszcze te kłopoty z pamięcią... i ciśnienie wydarzeń dnia dzisiejszego! Jakże często pojawia się wątpliwość: czy to tak miało być? Jaka jest różnica między niezależnością a odpowiedzialnością? Czy pluralizm to rozdrobnienie prawicy i jedność lewicy? Czy nagannym jest być tajnym współpracowni-

kiem SB, a jawnym (np. pełniąc służbę ministra, sekretarza organizacji partyjnej itp.) to już nie?

Nie zamierzam formułować tu odpowiedzi na te (i podobne) pytania. Sądzę, że każdy zadaje je sobie i odpowiada zgodnie z własną wizją świata i oczekiwaniami.

Jedno nie ulega wątpliwości: „Solidarność” powstała w Polsce zniewolonej przez system komunistyczny, w której większość z nas czuła się lokatorami. Przez dwadzieścia lat, za sprawą wówczas rozpoczętego dzieła, doczekaliśmy się chwili, gdy dwudziestą rocznicę „Solidarności” obchodzimy w suwerennym państwie, z paszportami we własnych biurkach. Wprawdzie piętrzą się problemy i trudności, ale moim zdaniem bilans jest dodatni. Przecież tylko naiwni mogli uwierzyć, że odzyskanie wolności nic nie kosztuje, a jej utrzymanie to dziecinna igraszka, że zmiana systemu gospodarczego czy rozszerzenie samorządności to kwestia prac legislacyjnych i głosowań w Sejmie i Senacie.

Skoro u zarania „Solidarności” wybraliśmy drogę pokojowej ewolucji, to nie oczekujemy efektów natychmiast. Nie da się pogodzić ewolucji z rewolucyjnym tempem przemian.

Co więc pozostaje? Chyba przede wszystkim satysfakcja, że stanęło się po tej właściwej stronie. To także świadomość, że nie wybraliśmy oportunistu jako naczelnej zasady życia.

A pragnienia? Moim jest to, aby „Solidarność” odmłodziła. Wbrew naturalnemu porządkowi rzeczy, o czym świadczą liczby określające kolejne rocznice. Przydałoby się też trochę więcej determinacji – nam wszystkim – w byciu członkiem tego właśnie Związku. My naprawdę nie mamy czego się wstydić, a Okrągły Stół nie jest alternatywą dla osiągnięć NSZZ „Solidarność”.

Ze związkowym pozdrowieniem

Ludomir J. Jankowski

Wojciech Myślecki

Sierpień zaczął się w marcu



Wojciech Myślecki, dr inż., 52 lata, pracownik naukowy Wydziału Elektroniki PWr, obecnie kierownik Polsko-Francuskiego Centrum Inżynierii Systemów Przemysłowych na PWr, realizuje też liczne inicjatywy gospodarcze.

W marcu 1968 roku członek Komisji Organizacyjnej Wieców Uczelni koordynującej studenckie strajki („wiece okupacyjne”). Od 1977 roku wspierał demokratyczną opozycję. Członek pierwszego Prezydium KZ NSZZ „S” przy PWr. W 1981 r. został dyrektorem gabinetu rektora prof. Tadeusza Zipsera. W stanie wojennym internowany. Następnie związany z Solidarnością Walczącą.

Już na początku 1980 roku, może nawet wcześniej, w powietrzu wisiało przeczucie, że kluczem do przemian w Polsce mogą być związki zawodowe. Może wiązało się to z masowością tej organizacji (ok. 90% pracowników), może z jej potencjalnie roszczeniowym charakterem. W marcu 1980 roku grupa ludzi o opozycyjnym nastawieniu, a będących członkami ZNP (pamiętam tam Andrzeja Idzikowskiego, Tadeusza Gudrę, Ryszarda Czocho, Andrzeja Pszonkę, Jerzego Kisielewicz; Tomasza Wójcika, śp. Aleksandra Bieleckiego,... sam też byłem w tym gronie) dokonała pewnego rodzaju zamachu stanu. Najpierw sformułowano 74 postulaty

związkowe i upubliczniono je. Następnie – w związku ze zbliżającą się Konferencją Wyborczą ZNP w marcu 1980 roku – przygotowano misterny plan dokonania istotnych zmian w programie ZNP i we władzach związku poprzez usunięcie z list wcześniej ustalonych z Komitetem PZPR kandydatów „partyjnych” i zastąpienie ich niezależnymi.

Prawie wszystkie zamierzenia zdołaliśmy wtedy zrealizować. Nie udało się tylko obsadzić niezależnym delegatem stanowiska przewodniczącego Rady Zakładowej ZNP. Klimat zebrania był na tyle gorący, że ówczesny rektor Tadeusz Porębski opuścił je.

Akcja udała się dzięki temu, że przygotowania były bardzo szczegółowe. Ustalono z góry, kto ma zostać wybrany i do jakiej komisji. Przedstawiono też przygotowane wcześniej odezwy i postulaty.

W lecie 1980 roku byłem na Mazurach. Kiedy zorientowałem się, że już są tzw. „przerwy w pracy” i stają pociągi, pośpiesznie przerwałem urlop i z przygodami dotarłem do Wrocławia około 22 sierpnia. Zgłosiłem się do zajezdni MPK. Stwierdziłem, że panuje tam duży chaos. Pojechałem porozmawiać z ludźmi. Utworzyliśmy na Politechnice grupę poparcia dla strajkujących – jeszcze zanim zaczęły się przygotowania do tworzenia struktur związkowych. W grupie niezależnych ZNPowców zredagowaliśmy uchwałę podpisaną przez kilkuset pracowników. Zawiozłem to świadectwo poparcia Józefowi Piórkowskiemu, który wtedy kierował strajkiem w MPK.

Tymczasem ludzie wracali z urlopów. Odbływały się instytutowe zebrania pracowników. Pamiętam takie zebranie w Instytucie Telekomunikacji i Akustyki i wydziałowe zebranie Elektroniki. Ponad 90% ludzi wstąpiło wtedy do „Solidarności” (choć ta nazwa jeszcze nie funkcjonowała). Poparcie było masowe. Było też zebranie ZNP, na którym przedstawiono propozycję głębokich reform dotychczasowych struktur związkowych. Ale

to już były inne czasy i dla nas ta droga była już nieaktualna.

Mieliśmy natomiast świadomość problemów związanych z taktyką tworzenia przy Politechnice Wrocławskiej niezależnego i samorządnego związku „Solidarność”.

Część osób – wśród nich Tomasz Wójcik, Tadeusz Orłowski – prezentowali koncepcję radykalną, by zakładać „Solidarność” nie czekając na nic. Grupa byłych reformatorów ZNP uważała, że ze względu na powagę sytuacji należy zabiegać o masowe poparcie. Sądziłyśmy, że trzeba organizować zebrania i prosić o wstępne deklaracje. Rzeczywiście, na takich zebraniach 70 do 90% obecnych deklarowało w referendum wolę poparcia niezależnych związków.

Proces ten toczył się z równoległe z powoływaniem przez Tomasza Wójcika komisji założycielskiej nowej organizacji związkowej. Nie dopuszczaliśmy przy tym, by gremia organizujące referenda kreowały jakieś ciało, np. komisję, która dublowałaby tę pierwszą. Skutek był taki, że zebrano tysiące deklaracji, które zostały następnie przekazane komisji założycielskiej NSZZ „Solidarność”.

Były również różnice poglądów, jaką przyjmując strategię budowania krajowej organizacji. Gra szła m.in. o to, czy powstanie jedna silna centrala związkowa, czy też wiele lokalnych mini-związków konkurujących ze sobą i łatwych do wzajemnego napuszczania na siebie i podatnych na zdominowanie przez władze komunistyczne.

Służby stojące na straży starego systemu podjęły natychmiast działania mające zamącić jasny podział sceny: jak grzyby po deszczu zaczęły się powstawać wyróżniające się długością nazw różne *samorządne niezależne związki zawodowe pracowników tej czy innej branży*.

Przyjęcie w Gdańsku nazwy NSZZ „Solidarność” i jednoznaczne związanie jej z grupą przywódców strajku w Stoczni – w tym z przewodniczącym Lechem Wałęsą – rozwiązało całkowicie ten problem.

Życie oraz siła procesów demokratycznych ujawniających rzeczywiste oczekiwania elektoratu dokonały wyboru między kon-

cepcjami działania „reformatorów” i „radykałów”. Zwycięstwo w wyborach na przewodniczącego Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” przypadło Tomaszowi Wójcikowi, co świadczyło o strategicznej słuszności jego koncepcji. Natomiast liczna reprezentacja reformatorów we władzach nowego związku była uznaniem dla ich wkładu w stosunkowo bezkonfliktowe utworzenie na uczelni masowej organizacji NSZZ „Solidarność”.

W ramach prac Komisji Zakładowej reformatorzy, do których wbrew własnemu temperamentowi należałem, prowadzili większość prac związkowo-pracowniczych. Między innymi zainicjowaliśmy powstanie rektorsko-związkowych komisji ds. socjalnych i pracowniczych, które w stanie wojennym nie zostały rozwiązane i stanowiły gwarancję obiektywnego i niezależnego prowadzenia spraw socjalnych w tym trudnym okresie.

Wiosną 1981 roku odbyła się kampania wyborcza do władz uczelni, w wyniku której pierwszym wybranym w demokratyczny sposób rektorem został prof. Tadeusz Zipser, długoletni działacz opozycji i przewodniczący Komisji Rewizyjnej „Solidarności”. W skład zespołu rektorskiego wszedł również później rektor Politechniki Wrocławskiej okresu III Rzeczypospolitej – obecnie Minister Nauki – prof. Andrzej Wiszniewski. Od jesieni objąłem przy nowym rektorze funkcję dyrektora gabinetu.

Inauguracja nowej kadencji i roku akademicki 1981/82 miała być kolejnym przełomem. Symbolicznie symbolizowało to zaproszenie arcybiskupa wrocławskiego, Jego Eminencji ks. kardynała Henryka Gulbinowicza na uroczystość inauguracji.

Kardynał Gulbinowicz dowiedziawszy się o tym zaprosił nowego rektora prof. Tadeusza Zipsera i mnie na śniadanie. Bardzo dokładnie chciał poznać scenariusz uroczystości, m.in. pytał, gdzie ma usiąść. Odpowiedzieliśmy, że takim poczesnym miejscem – tradycyjnie zajmowanym przez I sekretarza partii i wojewodę – były krzesła w pierwszym rzędzie auli. Nie byliśmy pewni, czy Jego Eminencji będzie odpowiadało to towa-

rzystwo. Ksiądz Kardynał oświadczył, że nie będzie miał nic przeciwko temu.

Zanim nastąpiła inauguracja na PWr, rozpoczynał się rok akademicki na Uniwersytecie. Tam też ksiądz kardynał był zaproszony. Pewną sensacją była owacja, jaką zgotowali mu zebrani – w przeciwieństwie do grobowego milczenia, jakie panowało w chwili witania w pierwszej kolejności (tak to jeszcze było) sekretarza KW PZPR prof. Andrzeja Klamuta. Kardynał oczywiście wstał i pobłogosławił wszystkich. Taka sytuacja powtórzyła się też na Politechnice.

Na zakończenie uroczystości miał się odbyć cocktail rektorski w sali 241. Moim zadaniem, jako osoby reprezentującej władze uczelni, było zaprowadzenie Jego Eminencji na ten cocktail. Jednak ksiądz kardynał nie przyjął propozycji, by przejść na skróty (przez drzwi za stołem prezydialnym i stamtąd wprost do sali). Przeszedł dostojnie przez całą aulę, schody, do hallu i stamtąd drugimi schodami na górę. A profesor Klamut, który siedział na uroczystości koło księdza kardynała, podążał za nim, niby jakiś furtian. Wszyscy goście, którzy przybyli pod salę wcześniej, czekali z wej-

ściem na kardynała. Wkroczyliśmy więc uroczyście w tym tercecie, w którym główną postacią był ksiądz kardynał. Wszyscy witali Gulbinowicza...a my wędrowaliśmy za nim.

Kardynał wpłynął na salę, która była pięknie przybrana, i stanął pod oknem. Prof. Klamut podążył za nim i westchnął:

– Ach, Księżę Arcybiskupie, ja zawsze zazdroścę hierarchii kościelnej...

– A czegoż to nam Pan Profesor zazdrości? – zainteresował się uprzejmie kardynał.

– Że Wy się umiecie znakomicie znaleźć w każdej sytuacji.

– Panie Profesorze! Jak Wasza partia będzie miała 2000 lat, to też będziecie umieli się znaleźć w każdej sytuacji. Co nie daj Boże! – dodał.

Niestety władze partyjne nie uwzględniły bogobojnej prośby księdza Kardynała i próbując – z wiadomym skutkiem – przetrwać 2000 lat wprowadziły stan wojenny, w wyniku czego większość solidarnościowych władz związkowych i rektorskich znalazła się w więzieniu. Tak zakończył się pierwszy akt historii rozpoczętej w sierpniu, zaś na uczelni – w marcu 1980 roku. □

Dach budynku D-2 rankiem 17 września 1985 .



fot. Stanisław Gębczak

Sławomir Najnigier

Byliśmy młodszym bratem „Solidarności”



Sławomir Najnigier, mgr inż., 42 lata, absolwent WPPT PWr (studia 1977-83, kier. fizyka), studia na Wydz. Gospodarki Narodowej AE (1984-89, absolutorium). W latach 1987-90 – prezes firmy komputerowej. 1990-92 jako członek Zarządu m. Wrocławia odpowiadał za finanse i przekształcenia własnościowe, 1992-93 – podsekretarz stanu w Min. Gospodarki Przestrzennej i Budownictwa odpowiedzialny za spr. komunalne, 1994-97 – wiceprezydent Wrocławia, 1997-2000 – prezes Urzędu Mieszkalnictwa i Rozwoju Miast.

We wrześniu 1980 przewodniczący Tymczasowego Komitetu Założycielskiego Niezależnego Samorządnego Związku Studentów we Wrocławiu, Przewodniczący Komitetu Założycielskiego NZS Politechniki Wrocławskiej, posiadacz legitymacji nr 1 NZS PWr.

Sojusz między rodzącym się NSZZ „Solidarność” a Niezależnym Zrzeszeniem Studentów był dla naszego pokolenia od początku oczywisty. Dla „Solidarności” byliśmy partnerami. Pomimo rysujących się już w roku 1981 podziałów politycznych wewnątrz NSZZ „Solidarność” i NZS, nasza identyfikacja z „pierwszą Solidarnością” (tj. do czasu wprowadzania stanu wojennego) i „drugą Solidarnością” (do czasu Okrągłego Stołu i pierwszych, częściowo wolnych wyborów

parlamentarnych w czerwcu 1989 r.) była jednoznaczna. Nie postrzegaliśmy „Solidarności” jako ruchu wyłącznie związkowego. Nie upominaliśmy się o prawa pracownicze, bo nie byliśmy pracobiorcami. Ten syndykalny element „Solidarności” dla młodych studentów miał znaczenie drugorzędne. Ważne było to, że „Solidarność” wyznawała te wartości, które były naszymi wartościami, że jako ruch opozycyjny wobec władzy komunistycznej była politycznym taranem burzącym kolejne fragmenty totalitarnego muru. „Solidarność” łamała monopol komunistycznego państwa w wielu dziedzinach życia społecznego zastrzeżonych dla PZPR, pomagając nam w łamaniu mniejszych organizacji typu Socjalistycznego Związku Studentów Polskich. „Solidarność” tworzyła nowe wzorce niezależnej, społecznej organizacji.

Tak się złożyło, że współpracując bezpośrednio z „Solidarnością” aż do roku 1990 nigdy nie byłem, zresztą jak wielu moich kolegów z NZS, członkiem Związku. Najpierw dlatego, że byłem studentem, później dlatego, że byłem pracodawcą. Ale o całym pokoleniu „pierwszego” NZS można powiedzieć: byliśmy młodszym bratem „Solidarności”.

I. Opozycja przed Sierpnem '80

Myszę, że początki tego oczywistego dla nas sojuszu rodziły się między wydarzeniami radomskimi (w czerwcu 1976 roku), a podpisaniem Porozumienia Gdańskiego w sierpniu 1981 roku. Od 1976 roku we Wrocławiu na fali pomocy poszkodowanym robotnikom powstawały niezależne środowiska związane przede wszystkim z Komitetem Obrony Robotników. Powstanie KOR-u w 1976 uruchomiło szereg niezależnych inicjatyw, które stopniowo obejmowały ważniejsze środowiska akademickie. We Wrocławiu w grudniu 1977 roku powstał Studencki Komitet Solidarność. W roku 1979 starsi koledzy tworzą wrocławską mutację Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR”. Powstaje

niezależny ruch wydawniczy (z „Biuletynem Dolnośląskim”). Rodzi się niezależny ruch edukacyjny.

Nie były to ruchy masowe. Niezależna działalność obejmowała przede wszystkim Uniwersytet Wrocławski, w mniejszym stopniu – Politechnikę Wrocławską i inne wrocławskie uczelnie i instytuty naukowe. Opozycja studencka, z którą byłem związany od początku swoich studiów na Politechnice (jesień 1977 r.), ograniczała się do kilkudziesięciu osób. Rzecznicy SKS, którzy oficjalnie sygnowali swoimi nazwiskami niezależne wydawnictwa, oświadczenia i ulotki, rekrutowali się głównie z Uniwersytetu. Adam Lipiński z Akademii Ekonomicznej, Helena Gleichgewicht z Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych czy moja osoba były raczej wyjątkiem.

Inicjatywy te mają znaczenie w świetle późniejszych wypadków. W Polsce, w przeciwieństwie do opozycji działającej w Czechosłowacji (Karta '77) i Rosji, te elitarne i początkowo izolowane społecznie kręgi dość szybko uzyskały wpływ na kształtowanie się masowego ruchu „Solidarność”. Ruchy opozycyjne działające przed Sierpniem odegrały znaczącą rolę w formowaniu się masowego związku zawodowego, jakim stała się „Solidarność”. Myślę, że wynikało to z trzech powodów:

Po pierwsze dlatego, że opozycja przed-sierpniowa przygotowała „ideologiczny” grunt pod współpracę różnych środowisk.

Przed rokiem 1980 opozycja, zwłaszcza KOR-owska, żyła kompleksem klęski roku 1968 i roku 1970, a także mitem solidaryzmu społecznego. Wydarzenia Marcowe '68 były klęską środowisk akademickich, w obronie których nie stanęły żadne inne znaczące środowiska. Wydarzenia z Grudnia '70 były samotnym wystąpieniem środowisk robotniczych, których nie poparły nawet symbolicznie środowiska inteligenckie. W obu wypadkach tę społeczną izolację wygrywały komunistyczne władze. Akcja pomocy robotnikom podjęta przez Komitet Obrony Robotników w 1976 roku była swoistym zadośćuczynieniem za rok 1970. Nieprzypadkowo inteligenckie środowiska związane z KOR-em

popierały tworzenie Wolnych Związków Zawodowych, wydawały prasę adresowaną do pracowników państwowych zakładów pracy („Robotnik”) i dążyły do odtworzenia społecznej pamięci o robotniczych protestach w Poznaniu (1956), na Wybrzeżu (1970), w Radomiu i Ursusie (1976). Od początku, w sposób świadomy, choć z niewielkim skutkiem, szukano kontaktu z robotnikami. Nazwisko Lecha Wałęsy było nam znane na długo przed Sierpniem '80. To z inicjatywy tych środowisk, w większości zlaicyzowanych, w Katedrze Wrocławskiej obchodzono uroczystości IX rocznicę Grudnia '70.

Latem 1980, kiedy fala strajków wywołanych pogarszającą się sytuacją ekonomiczną rozlała się po całej Polsce, nie powtórzono błędów z 1968 i 1970 roku. Już wtedy współpraca środowisk inteligenckich i pracowniczych była czymś ważnym, ale codziennym. Opozycja od początku aktywnie uczestniczyła w strajkach. Kapitałne znaczenie miały akcja informacyjna o strajkach (w udziale polskich radiostacji zagranicznych) i obrona przed represjami. Opozycja KOR-owska miała silny wpływ na rozszerzenie listy żądań robotników. Z historycznego punktu widzenia, z 21 Postulatów Gdańskich najważniejszym okazał się ten dotyczący zgody władz na utworzenie wolnych związków zawodowych. Bez tego nie doszłoby tak szybko do obalenia komunizmu.

Po drugie dlatego, że osoby ze środowisk opozycyjnych odegrały znaczącą rolę w tworzących się od sierpnia 1980 roku niezależnych organizacjach.

We Wrocławiu wiele osób wywodzących się z opozycji przedsierpniowej miało dobrą pozycję w NSZZ „Solidarność” na poziomie krajowym (Jan Waszkiewicz – obecnie Marszałek Województwa Dolnośląskiego, Barbara Labuda, Karol Modzelewski – on zaproponował nazwę „Solidarność”) i regionalnym (Krzysztof Turkowski, Aleksander Labuda, Mieczysław Zlat, Stanisław Huskowski, Kornel Morawiecki, Marek Muszyński, Władysław Sidorowicz, Lothar Herbst, Aleksander Gleichgewicht, Maciej Ziemia – obecnie prowincał Zakonu Dominikanów). Prasę Regionu Dolnośląskiego „Solidarność”, kształtują-

ca opinię tysięcy związkowców stworzyli od podstaw ludzie związani z opozycją, głównie ze Studenckim Komitetem Solidarności (Jarosław Broda – obecnie dyrektor dolnośląskiego PWN, Leszek Budrewicz – obecnie redaktor *Wieczoru Wrocławia*, Jan Sobczyk – pierwszy naczelny redaktor pisma „Z dnia na dzień”, obecnie profesor Uniwersytetu Wrocławskiego). Tymczasowy Komitet Założycielski NZS (początkowo Niezależnego Samorządnego Związku Studentów), który powstał 23 września 1980 roku, od początku był pod wpływem środowisk SKS (Danuta Stołeczka, Jacek Leśkow, Tomasz Wacko, Jan Sobczyk, Elżbieta Tarka, Marek Burak, Wiktor Grotowicz, Mirosław Spychalski, Joanna Szlachta, Adam Lipiński, Aleksandra Natalli). TKZ, którego miałem okazję być przewodniczącym, stał się katalizatorem powstawania Komitetów Założycielski NZS na wszystkich uczelniach Wrocławia. Po ich powstaniu, w październiku i listopadzie 1980 roku TKZ szybko okazał się zbędny.

Po trzecie dlatego, że „Solidarność” i NZS w sposób naturalny przejęły od opozycji wiele postulatów politycznych: **wolności słowa, demokratyzacji życia społecznego, samorządności i autonomii wyższych uczelni, obrony praw obywatelskich.** Te hasła nie zostały bez echa. Wartości społeczeństwa demokratycznego, dziś oczywiste, w tamtych czasach były polityczną herezją. To, że zostały one przejęte przez masowy ruch społeczny, było ogromnym sukcesem i opozycji, i Kościoła Katolickiego, i wielu innych środowisk, które w czasach komunistycznych były swego rodzaju depozytariuszem pamięci narodowej, pamięci społeczeństwa obywatelskiego.

II. NZS PW w okresie „pierwszej Solidarności” (wrzesień 1980 – 12 grudnia 1981)

Współpraca NZS z „Solidarnością” od początku była ścisła. Wspólna działalność doprowadziła do tego, że w ciągu niespełna 16 miesięcy na uczelni nastąpiły nieodwracalne zmiany – tak sposobie funkcjonowania uczelni, jak w świadomości studentów i pracowników naukowych. Władze komunistyczne (reprezentowane przez

PZPR, Związek Nauczycielstwa Polskiego, SZSP i kontrolowane częściowo władze uczelni) już nigdy nie odbudowały takich wpływów, jakie miały przed sierpniem 1980 roku. W tym czasie na Politechnice powstało bardzo ciekawe środowisko, które nie tylko przekształciło w stanie wojennym Politechnikę w jeden z największych ośrodków działalności podziemnej na Dolnym Śląsku, ale miało swój wkład w politykę po roku 1989. Moim zdaniem, ta metamorfoza uległej i oportunistycznej społeczności, w dość aktywną, czującą swoją podmiotowość, niezależną od władz komunistycznych, zorganizowaną grupę jest największym osiągnięciem tego czasu.

Warto też przy tej okazji przypomnieć inne sukcesy NZS Politechniki tego okresu.

- NZS uzyskał znaczący wpływ na życie uczelni i studentów. Zrzeszenie, które pod koniec września 1980 r. liczyło formalnie 15 członków - założycieli w ciągu niespełna pół roku stało się organizacją liczącą prawie 3000 członków i jedną z największych organizacji NZS w kraju. W tym czasie wpływy SZSP znacząco spadły. Szacowaliśmy, że liczba członków tej organizacji zmalała o 5/6.

- Wokół NSZ powstała bardzo silna i liczna grupa działaczy, którzy w okresie stanu wojennego kontynuowali działalność w różnych strukturach podziemnych i pracowali społecznie. Wiele osób odniosło sukcesy zawodowe.

- NZS wywalczył silną pozycję w Senacie. Studenci wybrani w niezależnych wyborach dopiero w roku 1981 uzyskali prawo udziału w pracach Senatu. Po tzw. strajku łódzkim udział studentów (w większości z NZS) wzrósł do 1/3 składu Senatu i innych ciał kolegialnych. We wrześniu 1981 roku razem z NSZZ „Solidarność” posiadaliśmy „pakiet kontrolny”, pozwalający na wytypowanie rektorów niezwiązanych z PZPR (prof. Tadeusz Zipser i prof. Andrzej Wiszniewski jako prorektor).

- NZS wywalczył liberalizację regulaminu studiów. W tym czasie Politechnika Wrocławska pod rządami rektora Tadeusza Porębskiego, miała najbardziej sformalizowane i restrykcyjne zasady studiowania.

• NSZ doprowadził do tego, że kluby studenckie i rady mieszkańców domów studenckich zostały uniezależnione finansowo od SZSP.

• NSZ przyczynił się do zmian merytorycznych w programach nauczania, zwłaszcza w zakresie przedmiotów społecznych. Na uczelni pojawili się pierwsze zajęcia wychodzące poza doktrynę marksistowską.

• NSZ prowadził szeroką działalność popularyzatorską z zakresu historii najnowszej i polityki. W niektórych wykładach uczestniczyło jednorazowo około tysiąca osób. NSZ rozpowszechniał literaturę niezależną i prowadził bardzo popularną bibliotekę wydawnictw niezależnych.

• NSZ wydawał niezależne biuletyny („O co chodzi?”, „Pisane Nocą”, „Klin”, „Hebdiol”) oraz wydrukował poza cenzurą wiele książek. Sukcesem okazały się wydawnictwa plakatowe.

• w ramach akcji ogólnopolskich NSZ zorganizował dwa duże strajki studenckie (tzw. strajk łódzki, zakończony podpisaniem Porozumień Łódzkich w lutym 1981 roku oraz tzw. strajk radomski jesienią 1981 roku). Ich organizację można uznać za wzorcową.

• NSZ czynnie wspierał NSZZ „Solidarność” w najbardziej krytycznych momentach. W czasie tzw. Kryzysu Bydgoskiego NZS Politechniki zorganizował największą w kraju akcję plakatową (ok. 20.000 malowanych ręcznie plakatów). Plakaty NZS zostały zauważone na arenie krajowej. Ciekawostka historyczna: w dowód uznania zaproszono dwie osoby (K.Kowalski, S.Najmugier) na posiedzenie Komisji Krajowej „Solidarności”, które miało miejsce w historycznej sali Stoczni Gdańskiej.

• NZS uczestniczył w wielu akcjach solidarnościowych na rzecz innych środowisk m.in. w obronie więźniów politycznych.

• NZS zorganizował od podstaw rozległą strukturę organizacyjną. Po okresie rządów Komitetu Założycielskiego i Komisji Koordynacyjnej, w maju 1981 odbyły się pierwsze wybory do Zarządu Uczelnianego NSZ (przewodniczący – Rafał Guzowski, wiceprzewodniczący: Bernard Afeltowicz, Przemysław Koelner; członkowie: Dorota Bo-

chen, Jarosław Szawlis, Zbigniew Skorupa, Agnieszka Kacprzak, Jarosław Kłoczko, Stanisław Malik, Adam Zagórski, Krzysztof Kowalski).

• NSZ zachował wewnętrzny pluralizm. W ramach NZS powstał Ruch Młodzieży Katolickiej „DOK”. Było to jedyne tego typu pluralistyczne rozwiązanie w skali kraju.

III. NZS po wprowadzeniu stanu wojennego

Po ogłoszeniu stanu wojennego w dniu 13 grudnia 1981 roku NZS został zawieszony, a następnie zdelegalizowany. W ciągu roku w obozach internowania znalazło się ponad 30 działaczy NSZ Politechniki Wrocławskiej. Ci, którzy uniknęli internowania, miesiącami ukrywali się przed Służbą Bezpieczeństwa prowadząc działalność podziemną. Około 20 studentów Politechniki otrzymało drakońskie wyroki pozbawienia wolności. W jednym z pierwszych procesów w grudniu 1981 roku Grzegorz Książczak, student elektroniki i członek NZS, został pozbawiony wolności na 6 lat za kolportaż ulotek. Za czynny udział w licznych demonstracjach zatrzymano i ukarano w Kolegiach ds. Wykroczeń dziesiątki studentów Politechniki Wrocławskiej.

Wspólny strajk okupacyjny „Solidarności” i NSZ ogłoszony 13 grudnia 1981 został rozbity przez policję. W 1982 roku odbył się pokazowy proces Komitetu Strajkowego. Na ławie oskarżenia zasiedli wspólnie członkowie „Solidarności” i NZS (B.Afeltowicz). Wybrani demokratycznie rektorzy zostali pozbawieni swoich funkcji.

NSZZ „Solidarność” i NZS rozpoczęły regularną działalność podziemną, która nieprzerwanie trwała do 1989 roku, tj. do czasu ponownej legalizacji. Studenci Politechniki uczestniczyli w niezależnej działalności wydawniczej (jako drukarze, wydawcy i kolporterzy), w akcjach RKS „Solidarność” i „Solidarności Walczącej”, w emisjach audycji niezależnych rozgłośni, w akcjach plakatowych i ulotkowych, w akcjach protestacyjnych i demonstracjach.

W listopadzie 1982 roku NZS Politechniki przeprowadził jeden z najbardziej udanych strajków przeciwko delegalizacji „Solidarności”. Rano specjalne grupy NZS zablokowa-

ły zapalkami zamki sal wykładowych. W całonocnym bojkocie zajęć uczestniczyło wiele tysięcy pracowników i studentów.

Specyfiką Politechniki było zachowanie przez NSZ i NSZZ „Solidarność” bardzo silnych wpływów w ciałach kolegialnych. Kolejni rektorzy uczelni (J.Schroeder, W.Kasprzak) próbowali różnymi metodami ograniczyć nasze wpływy. Skład Senatu sztucznie powiększano o kolejne osoby, które nie przechodziły procedury wyborczej. Rektor Jerzy Schroeder pozbawił mandatów senatorskich wiele niewygodnych dla władz osób (w tym studentów z NZS: R.Guzowskiego, A.Pytłaka, W.Żywickiego, S.Najnigiera, którzy w tym czasie się ukrywali lub byli internowani). Testem były wybory nowego rektora w roku 1984. Po spotkaniu podziemnej „Solidarności” (A.Wiszniewski i T.Huskowski) oraz NZS (R.Guzowski, B.Afeltowicz, S.Najnigier) zapadła decyzja, że będziemy popierać profesora Jana Kmitę. Wynik wyborów był nokautujący dla PZPR. Spośród 4 kandydatów, nasz kandydat zdobył wystarczającą liczbę głosów już w pierwszej rundzie.

Specyfiką Politechniki było również łączenie działalności legalnej (np. w Radzie Wydziału) z podziemną. Mimo rygorów stanu wojennego nasze poczucie swobody było w tym czasie ogromne. Po pierwszej liberalizacji stanu wojennego, jaka miała miejsce w lipcu 1981 roku, w roku akademickim 1981/82 NZS-owscy senatorowie studenci stali się nieoficjalnymi partnerami w rozmowach z rektorem W.Kasprzakiem. Przedmiotem uzgod-

nień była m.in. sprawa powrotu na zajęcia studentów ukrywający się przed Służbą Bezpieczeństwa i gwarancji, że nie będą zatrzymani oraz powrotu studentów relegowanych z uczelni z powodów politycznych. Rektor W.Kasprzak miał niezłą orientację i traktował nas – nie bez podstaw – jako przywódców studenckiego podziemia (nie wiem, czy rektor miał świadomość, że podczas wizyt w jego gabinecie, wymienialiśmy paczki z bibułą).

Specyfiką Politechniki było też uczestnictwo w tworzeniu i przejęciu wpływu nad samorządami studenckimi. W roku 1982 przeważał pogląd, że każdą oficjalną inicjatywę należy bezkompromisowo bojkotować (np. samorządy pracownicze). Po długich dyskusjach uznaliśmy, że należy przejąć wpływy nad tworzącymi się z inicjatywy władz uczelni samorządami. Ten rodzaj naszej aktywności okazał się na dłuższą metę zbawienny. Z jednej strony – nie pozwalał na odbudowanie monopolu SZSP (przekształconego w ZSP). Z drugiej – samorządy stały się kadrowym zapleczem dla NZS. W przeciwieństwie do NSZZ „Solidarność” – w NSZ-ie następował szybka wymiana pokoleń. W połowie lat 90-tych wielu działaczy samorządu zasiliło szeregi nielegalnego NZS.

* * *

NZS Politechniki Wrocławskiej prowadził – już bez udziału ojców-założycieli – działalność podziemną nieprzerwanie przez lata osiemdziesiąte. Jeszcze przed ponowną reje-

Spotkanie informacyjne TKZ ze studentami Wydz. Elektroniki (C-1, sala 205)



Fot. Ryszard Poprawski

stracją, w końcu 1988 roku, NZS wznowił jawną działalność.

Po wielu latach przerwy zostaliśmy zaproszeni przez młodszych kolegów na oficjalne spotkanie NZS. Rozmowy o formule obrad przy Okrągłym Stole toczyły się już od kilku miesięcy. Odwilż gospodarcza trwała od co najmniej dwóch lat. Obaj z Bernardem Afeltowiczem, prowadziliśmy oficjalną działalność gospodarczą. I już wtedy uważaliśmy, że NZS, w postaci ukształtowanej przez podziemie, przejdzie niedługo do historii. Nie mieliśmy złudzeń, że konkurencja rynkowa wyprze podziemne oficyny, że po załamaniu się państwowego monopolu na informację walka o wolność słowa przestanie być wyróżnikiem politycznym, że w wolnej Polsce sama odwaga nie będzie wystarczającym warunkiem, aby normalnie funkcjonować w konkurencyjnym społeczeństwie, że walka o autonomię uczelni przestanie być czymś

szczególnym, bo wszyscy będziemy korzystać z tej wolności.

Paradoksalnie – wolność, o którą tak zabiegał NZS, stanie się bezpośrednią przyczyną kryzysu jego tożsamości i zachwiania na początku lat dziewięćdziesiątych. Współczesny NZS jest mimo podobieństw i tych samych korzeni innym NZS-em, współczesna „Solidarność” jest inną „Solidarnością”. Jak sądzę, podobny kryzys tożsamości przeżywa od lat „Solidarność”. To co skutecznie łączyło przez lata różne opcje w NZS, w wolnej Polsce rozpadło się zupełnie. W 1981 mogłem być w jednej organizacji z Markiem Jurkiem, teraz jest to niemożliwe. Niezależnie od tego, gdzie znaleźliśmy się po roku 1990, w jakich partiach, wśród wygranych, czy przegranych, jedno jest pewne – każdy z nas w podobnej sytuacji zrobiłby to samo. W tą grę o demokratyczną Polskę warto było grać. Tę grę można było wygrać. □

Autor w roku 1980.



Janusz Biernat

Od prezydium do prezydium



Janusz Biernat, lat 50, prof. PWr, dr hab. inż. elektronik, pracownik naukowy w Instytucie Cybernetyki Technicznej.

Obecnie pełni funkcję dziekana na Wydziale Elektroniki Politechniki Wrocławskiej.

W latach 1990–1991 był przewodniczącym KZ NSZZ "Solidarność" przy Politechnice Wrocławskiej.

W 1980 roku zostałem członkiem Prezydium ZNP. Funkcję tę objąłem jako jeden wśród „młodych gniewnych” podczas pamiętnych wyborów związkowych w marcu.

Mieszkaliśmy z żoną i małym dzieckiem w hotelu asystenta PWr. Nie mieliśmy telewizora. Pod koniec sierpnia wróciliśmy z wakacji. Z radiowych programów wynikało, że coś się w kraju dzieje.

Prezydium ZNP zebrało się w ostatnich dniach sierpnia, co miało raczej charakter symboliczny, bo zdarzenia biegły już wtedy bardzo szybko. Tomek Wójcik organizował właśnie grupę, która na tyle głośno, na ile było to możliwe, zaczęła popierać strajki na Wybrzeżu i dążyła do powołania, a może raczej ujawnienia działalności wolnych związków.

Na posiedzeniu Prezydium ZNP zgłaszano szereg postulatów, zwłaszcza dotyczących spraw uczelnianych. Gremium pod przewodnictwem Tomasza Palewskiego – prawdopodobnie z inspiracji partii – próbowało też podjąć jakieś uchwały popierające działalność komitetów strajkowych, ale było już za późno. Chyba po trzech dniach zwołano ko-

lejne zebranie, ale frekwencja była mniejsza niż 50% i skończyło się to niczym. A potem... już była „Solidarność”.

W ostatnich dniach sierpnia, gdy strajki na Wybrzeżu dobiegały do szczęśliwego finału, stwierdziłem ze zdziwieniem, że właściwie wszyscy pracownicy wrócili z urlopów. Gdy wraz kolegami podjęliśmy starania o zorganizowanie zebrania założycielskiego wolnego związku w instytucie, obecnych było już chyba 95% pracowników. Prawie wszyscy wpisali się do wolnych związków. Tylko kilku zachowało rezerwę. Parę dni później było w Instytucie Cybernetyki Technicznej (I-6) zebranie Komitetu Założycielskiego, a po tygodniu – zebranie wyborcze. Kandydowałem na przewodniczącego Komisji Oddziałowej, ale przegrałem wybory z powodu „niechlubnej przeszłości”, czyli przynależności do Prezydium ZNP. Zostałem jednakże wybrany w skład Prezydium Komisji Oddziałowej przy I-6.

Wśród pracowników panowało wtedy ogólne przeświadczenie, że jak popatrzymy dyrektorowi czy innej władzy na ręce, natychmiast wszystko się zmieni na lepsze. W wielu wypadkach byli to po prostu nasi starsi koledzy, którzy w otaczającej ich rzeczywistości robili to, co mogli (choć może nie zawsze) i samo zagłębienie im przez ramię nie mogło spowodować drastycznych zmian. W naturze człowieka jest jednak niechęć do twierdzenia, że podstawą sukcesu jest wysiłek, długotrwała praca. Łatwiej wierzyć, że jak tupniemy nogą, będzie nam lepiej.

Zaczęły się miesiące aktywnej działalności wszelkich komórek związkowych, które kierowały przedstawicieli (czasem po kilku) na posiedzenia rad instytutu czy kolegów dyrekcyjnych. Zgłaszali oni postulaty w rozmaitych sprawach. (Czasem były nieco odrealnione. Wiem, bo sam też je zgłaszałem.)

Wszyscy pamiętają konflikt o rejestrację związku, potem wydarzenia w Bydgoszczy, związane z tym napięcie i rozważania, jak w razie potrzeby będziemy się bronić, dyskusje o podsłuchach (kto kogo podsłucha: my ich czy oni nas?)... Nastroje były bojowe. Potem te emocje ostygły. Środowisko uczel-

ni jest inne, niż w typowym zakładzie pracy. Tu łatwiej przekonać kogoś argumentami, stonować klimat dyskusji, szukać rozwiązań akceptowanych przez obie strony. Wtedy działałem na szczeblu instytutu. Stosowano zasadę, że nie należy łączyć funkcji związkowych. Zatem przedstawiciel KO (instytutowej) do KZ nie pełnił żadnych funkcji w komisji instytutowej. Bywał oczywiście na wszystkich zebraniach, ale nie był jej członkiem.

W roku 1981 rozpoczęły się wybory do władz uczelni. Miała to być pierwsza demokratyczna kadencja. Pamiętam zebranie wyborcze poświęcone wyborom dyrektora instytutu. Było dwóch kandydatów – obaj równie godni zaufania, przy czym jeden był członkiem PZPR, a drugi nie. Gdy szala sympatii wyborczych zaczęła przechylać się na rzecz członka partii, padło z sali pytanie (na które wszyscy znali odpowiedź) o przynależność organizacyjną. To zdecydowało, że wybrano osobę bezpartyjną. Wybrany dyrektor instytutu zaproponował mi funkcję zastępcy. Zaprotestowałem, bo nie czułem się kompetentny, ani przygotowany do tej roli. On jednak argumentował, że skoro tak dobrze mi poszło zorganizowanie pracy związkowej, powinienem się podjąć tego zadania. Ostatecznie poddałem się argumentowi: „Jeżeli nie boi się Pan odpowiedzialności, nie powinien Pan odmówić.”

Od września '81 objąłem nową funkcję, która przyniosła mi nowe doświadczenia. Ale już w grudniu przyszedł stan wojenny. W większości jednostek uczelni dyrektorzy złożyli dymisję na ręce Rektora prof. Tadeusza Zipsa. Rektor tych dymisji nie przyjął uznając, że nawet jeżeli zostanie on odwołany, na niższych szczeblach powinni zostać ludzie możliwie niezależni. Tak – z nielicznymi wyjątkami – się stało. Również w moim instytucie. Był to trudny okres, także z powodu odgórnych nacisków, by „zrobić porządek” w sferze politycznej. Dla mnie byli to koledzy, z którymi współpracowałem w ZNP, w „Solidarności”, których dążenia rozumiałem. Udało się jakoś przetrwać tę kadencję bez większych strat. Dwie czy trzy osoby wyemigrowały na Zachód, ale te decyzje zapadały w zupełnie innych kręgach, władze instytutu nie były o niczym informowane. Wtedy mogliśmy się tylko domyślać, pod jakim wpływem nasi pracownicy decydowa-

li się na takie kroki.

Do końca 1988 roku czekaliśmy na dalszy ciąg zmian politycznych. Na ile potrafiłem, brałem udział w cichej działalności. We wrześniu 1988 kierująca niejawnymi działaniami związkowymi Uczelniana Komisja Koordynacyjna podjęła decyzję o wyjściu związku „na powierzchnię”. Poszczególne jednostki miały wydelegować swoich przedstawicieli na zebranie ogólnouczelniane.

Należało zatem w Instytucie Cybernetyki Technicznej zorganizować zebranie. Musiałem pójść do dyrektora instytutu i poprosić go o udostępnienie sali. Dyrektor, jak większość ówczesnych szefów, był członkiem partii, ale jako człowiek pragmatyczny, powiedział: *Dobrze, organizuj zebranie, tylko mnie w to nie mieszaj*. Pocztą pantoflową rozpowszechniono informację o zebraniu i o akceptacji dyrektora, która stwarzała umiarkowaną gwarancję bezpieczeństwa uczestników. Mimo to u niektórych zwyciężyła ostrożność, na zebranie przyszło trzydzieści kilka osób. Zostałem jednym z dwóch reprezentantów I-6.

Zgodnie z zadeklarowaną przez członków „Solidarności” wolą Komisja Zakładowa podjęła działalność pod kierunkiem 6-osobowego Prezydium.

Oficjalnie związek nie był zalegalizowany, ale był to czas, gdy bardzo wiele zależało od uczciwości i odwagi (a także politycznego wyczucia) poszczególnych osób. Tu właśnie wiele zawdzięczamy osobie ówczesnego Rektora prof. Jana Kmity, który korzystając z przysługującego mu prawa zapraszania poszczególnych osób na posiedzenia kolegium rektorskiego, natychmiast po wyborach zaczął na nie zapraszać Tomasza Wójcika („osobę prywatną”, jak to mawiał Urban o Wałęsie). Tomek mógł na tych posiedzeniach wyrazić swoje stanowisko, a następnie referował omawiane problemy na zebraniach Komisji Zakładowej. Następnie Tomek zaczął być imiennie zapraszany na posiedzenia Senatu PWr. Trudno byłoby zrobić więcej na tym etapie.

Wkrótce odbyły się wybory do parlamentu, w którym ówczesna opozycja odniosła ogromny sukces. Potem Tomek Wójcik został wybrany przewodniczącym Regionu Dolnego Śląska. Zostałem wtedy wybrany na wakujące miejsce i objąłem funkcję przewodniczącego KZ NSZZ „S” przy PWr. □

Marek Muszyński

Sierpniowe impresje



Marek Muszyński, absolwent Wydziału Fizyki UW, pracownik naukowo-dydaktyczny Instytutu Techniki Mikrosystemów (dawniej Technologii Elektronowej) PWr. W 1968 r. aresztowany za działalność opozycyjną.

W 1980 r. został wiceprzewodniczącym Komisji Zakładowej NSZZ „S” przy PWr. Po wprowadzeniu stanu wojennego kierował strajkiem na Politechnice, za co był poszukiwany listem gończym. Był czwartym (i jedynym niearesztowanym) przewodniczącym Regionalnego Komitetu Strajkowego (ps. Witold) i członkiem Tymczasowej Komisji Krajowej.

Był posłem z ramienia „Solidarności” w Sejmie RP I kadencji. Obecnie jest członkiem Komisji Zakładowej „S”.

Schyłek lat siedemdziesiątych upamiętnił się chyba wszystkim Polakom jako okres braków w zaopatrzeniu. Coraz bardziej niewydolna gospodarka nie radziła sobie z zaspokojeniem potrzeb społecznych poczynając od mieszkań, a kończąc na papierze toaletowym. Serwowano, co prawda, liczne hasła, jak choćby „Pokój najwyższym prawem człowieka” (do d... z wolnością – dodawał prof. Jerzy Czerwonka), czy tak chętnie cytowane w nieoczekiwanych sytuacjach „Polak potrafi”. Jednakże nikt nie wierzył, że w najbliższym czasie „zbudujemy drugą Polskę” – cokolwiek by to miało znaczyć.

Moje osobiste doświadczenia konfliktu z władzą ludową były związane ze strajkami studenckimi 1968 roku. Wbrew temu, co się później mówiło, nie czuliśmy się wtedy, jako studenci, „odcięci od mas”. Już wówczas wrocławskie zakłady pracy udzielały poparcia strajkującym, czego materialnym wyrazem była przysyłana nam żywność. Toteż pomoc dla strajkujących zakładów pracy w sierpniu 1980 roku było dla nas oczywiste. Tym razem jednak pragnienie zmian ogarnęło cały kraj i wszystkie środowiska. To zaowocowało nowym charakterem postulatów. Nie ograniczono się do żądania realizacji tego czy innego świadczenia, a nawet wypuszczenia z więzienia, lub przywrócenia do pracy tej czy innej osoby. Uderzono jawnie w fundament systemu. Nie kamuflowano protestu kolejnym stwierdzeniem, że „socjalizm tak, wypaczenia nie”. Coraz wyraźniej brzmiały słowa, że cały ten system jest co najmniej wypaczeniem. Skoro jednak nie dało się udawać, że zmiany są konieczne, powstawało pytanie: do jakiego modelu dążyć, jakie zmiany są możliwe? Po latach propagandy, która zakłamywała wszystko: historię, ekonomię, politykę,... myśląca część społeczeństwa odczuwała potrzebę wypełnienia białych plam i dopracowania się konkretnych programów działania. Ludzie byli spragnieni wiedzy, toteż legalny okres „Solidarności” 1980-81 pamiętam przede wszystkim jako epokę rozpowszechniania się niezależnych wydawnictw. Ich jakoś techniczna pozostawiała – zwłaszcza według dzisiejszych standardów – wiele do życzenia, za to bogactwo form i tematów było ogromne. Wiele czasu poświęcałem zatem zaopatrywaniu w niezależne wydawnictwa uczelnianej Komisji Zakładowej (której wiceprzewodniczącym zostałem w wyniku pierwszych wyborów w grudniu 1980). Korzystali z tych wydawnictw nie tylko nasi pracownicy. Jako komisja zakładowa dużej instytucji mieliśmy za zadanie wspieranie mniejszych, nie mogących dyna-

micznie działać zakładów pracy.

Najprostszym źródłem zaopatrzenia w materiały był Zarząd Regionu Dolny Śląsk, ale często trzeba było wyruszać po nie na własną rękę, „w Polskę”. Nie było to proste z kilku powodów. Po pierwsze, benzyna była towarem równie trudno dostępnym, jak wszystkie inne (może poza octem i liśćmi laurowymi), więc posługiwanie się samochodem nastęczało wiele problemów. Po drugie, system nie rezygnował z istnienia cenzury i właściwie nigdy nie było wiadomo, czy w danym przypadku zostaniemy potraktowani jako posiadacze materiałów „do użytku wewnątrzorganizacyjnego”, czy jako osoby działające wbrew prawu. Przecież nawet maszyny do pisania były towarem ewidencjonowanym jako potencjalnie niebezpieczny sprzęt. Te problemy i konieczność odpowiedzenia na czytelnicze potrzeby prowadziły do powstawania lokalnych pism opartych o kręgi związkowe. W środowisku Politechniki wychodziło również pismo *Informacje NSZZ „Solidarność”*, które teoretycznie było wewnętrzną publikacją związkową, ale docierało do licznych zakładów pracy Wrocławia.

Ta dwoistość reguł gry była zresztą jedną z cech charakterystycznych dla początków „Solidarności”. Niereformowalność systemu, który nie mógł zrezygnować z dogmatu nieomylności partii mimo jawnej plajty całej gospodarki, prowadziła nas do rozwijania modeli

przyszłego świata. Nikt nie był pewny, czy sami dożyjemy tego szczęśliwego finału, ale wierzyliśmy, że przełom jest nieunikniony. Nie mogąc wprowadzać reform w życie, dyskutowaliśmy o rozwiązaniach bliższych modelom idealnym niż tym, jakie niesie zwykłe życie polityczne i gospodarcze. Wierzyliśmy, że kiedy osiągniemy wolność uda się nam uwolnić nie tylko od wad socjalizmu, ale i defektów gospodarki wolnorynkowej. Jest to zapewne cechą wszystkich ruchów, którym nie dane było osiągnąć etapu realizacji. Nosiliśmy w sercach marzenia.

Tymczasem po raz drugi w tym stuleciu stał się cud odrodzenia Polski. Weszliśmy na drogę realizacji przemian. Musieliśmy skonfrontować ideały z toczącą się wokół nas grą doraźnych interesów, obudzonymi ludzkimi tęsknotami za małą stabilizacją lub szybkim sukcesem finansowym. Jednocześnie, dzięki zrealizowanej wolności stowarzyszania się, z dziesięciomilionowego związku wydzieliły się partie, organizacje, stowarzyszenia, dla których afiliacja przy „Solidarności” była początkowo jedyną szansą zaistnienia. Staliśmy się – co prawda ważną, ale jedną z wielu – struktur demokratycznego państwa. Czemu więc wciąż ta nazwa po dwudziestu latach brzmi tak szczególnie? Czy dlatego, że wtedy zbiorowo, jako społeczeństwo dostrześliśmy cel naszych dążeń tak wyraziście, że wydawał się w zasięgu ręki? Jak w jasny, słoneczny poranek,

gdy patrzymy na odległe szczyty gór. W głębi duszy wiemy, że droga będzie trudna, kręta i obfitująca w nieoczekiwane sytuacje, ale ten jasny obraz celu, który wszystkich poderwał do działania, trwa w nas i nie pozwala zapomnieć, o co chodziło. □



Witold Jablonski

Moje spojrzenie na moją „Solidarność”



Witold Jabłoński, lat 62, dr inżynier elektryk, nauczyciel akademicki, adiunkt w Instytucie Energoelektryki PWr:

Pełnił funkcję przewodniczącego Komisji Oddziałowej, a w latach 1991–98 przewodniczącego KZ NSZZ „Solidarność” przy Politechnice Wrocławskiej i członkiem Zarządu Regionu Dolnośląskiego NSZZ „Solidarność”, delegatem na Regionalny Zjazd Delegatów i na Krajowy Zjazd Delegatów. Na IV i V KZD był aktywnym członkiem Komisji Programowej.

Jako młody chłopak, a później mężczyzna, zakładając rodzinę i rozpoczynając pracę zawodową, często myślałem o swojej przyszłości. Prawem młodego wieku jest optymizm, więc mimo szarej rzeczywistości miałem poczucie, że życie stoi przede mną otworem, a przyszłość wydawała mi się różowa. Snułem także marzenia, których przedmiotem były wtedy najczęściej samochód i podróże zagraniczne.

Nie spodziewałem się, że na własne oczy zobaczę upadek komunizmu i powódź we Wrocławiu.

W przeciwieństwie do powodzi, upadek panującego w Polsce systemu był przedmiotem nieustannych oczekiwań i rozmów. Obserwowałem moich rodziców, którzy walczy-

li o przetrwanie w „ustroju wszelkiej szczęśliwości”. Od najmłodszych lat słuchałem audycji „Wolnej Europy” i „Głosu Ameryki”. Sądziłem jednak, że na upadek systemu, w którym nie liczyły się moralność, uczciwość, zdolności i wykształcenie trzeba będzie – także ze względu na stojący za nim układ międzynarodowy – czekać wiele pokoleń.

Gdy 20 lat temu ludzie zaczęli powszechnie i jawnie okazywać niezadowolenie z naszej rzeczywistości, od razu zapisałem się do „Solidarności”. Starałem się włączyć w nurt przemian, które wtedy głównie zachodziły w mentalności ludzi, gdyż władze komunistyczne uparcie broniły obszarów swego panowania. Wierzyłem, że całe społeczeństwo jest w stanie dokonać zasadniczych przemian ustrojowych – politycznych i gospodarczych. Mojej wiary nie zламаło nawet wprowadzenie stanu wojennego 13 grudnia 1981 r. Wręcz przeciwnie, stałem się wtedy bardziej aktywny, choć była to aktywność jedynie w miejscu mojej pracy.

Wydarzenia 1989 roku utwierdziły mnie w przekonaniu, że znów pojawia się realna możliwość dokonania zmian, ale trzeba dać z siebie więcej. Dlatego w lutym 1991 roku zgodziłem się objąć funkcję przewodniczącego Komisji Zakładowej naszego Związku, którą pełniłem w ciągu dwóch kadencji (do końca marca 1998). W tym czasie podjąłem działalność w Zarządzie Regionu NSZZ „Solidarność” (byłem członkiem Zarządu w latach 1991–98) i uczestniczyłem w regionalnych i krajowych zjazdach Związku. Kierując pracami organizacji zakładowej reprezentowałem ją na posiedzeniach Senatu PWr. Byłem też trzykrotnie delegatem na Walne Zebranie Delegatów Krajowej Sekcji Nauki. Brałem w związku z tym udział w pracach tego forum środowisk akademickich.

Odczuwaliśmy jednak potrzebę powołania wrocławskiej platformy porozumienia

organizacji związkowych uczelni. Dlatego zabiegałem o utworzenie Komisji Porozumiewawczej NSZZ Solidarność” Wyższych Uczelni Wrocławia. Następnie jako jej przewodniczący zajmowałem się licznymi pracami organizacyjnymi, m.in. prezentowałem stanowisko środowiska w KSN, a także wobec Zarządu Regionu, władz uczelni i władz resortu nauki.

Jako członek Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” musiałem niejednokrotnie włączać się w działania mediacyjne, opracowywałem projekty struktur organizacyjnych i regulaminów (Zarządu Regionu i Biura Zarządu). Współpracowałem też przy podejmowaniu decyzji o charakterze społecznym i politycznym.

Będąc w tym okresie również delegatem na Krajowe Zjazdy Delegatów współdziałałem w przygotowywaniu materiałów na zjazd, a także pracowałem w zjazdowej komisji uchwał i wniosków.

Ktoś może zapytać, dlaczego uznałem, że najlepiej zrobię działając w organizacji, która ma w nazwie związek zawodowy. Mogę wymienić kilka przyczyn mojej decyzji.

Po pierwsze, zawsze czułem wewnętrzną potrzebę działania na rzecz innych ludzi, a takie możliwości daje związek zawodowy.

Po drugie, „Solidarność” zapoczątkowała

działalność na rzecz politycznych i gospodarczych przemian w naszym kraju i przez wiele lat była jedyną masową organizacją, która dążyła w sposób konsekwentny do tych przemian.

Po trzecie, po upadku poprzedniego ustroju „Solidarność” dawała największe szanse kontynuacji zapoczątkowanych przemian. Tak więc „Solidarność” jest nie tylko związkiem zawodowym, ale również ruchem społeczno-politycznym, choć znaczenie tej ostatniej roli maleje w wyniku tworzenia się w Polsce normalnych demokratycznych instytucji politycznych, samorządowych i gospodarczych. Bezpośrednio po powstaniu „Solidarności” właśnie działania polityczne były ze względów oczywistych dominujące. Później wciąż toczyła się dyskusja, jakie powinny być proporcje między funkcją związkową i społeczno-polityczną. Choć jest to wciąż ogromny dylemat, uważam, że ta druga funkcja powinna być utrzymana aż do zakończenia przemian.

Moja aktywna działalność w Związku trwała 7 lat. Dziś, gdy została ona znacznie ograniczona, mogę z pewnym dystansem oceniać działalność „Solidarności” na szczeblu zakładowym, regionalnym i krajowym.

Sądzę, że najlepiej znam tę działalność na szczeblu uczelnianej Komisji Zakładowej.



W przeważającej części miała ona charakter czysto związkowy, choć nie pozbawiony elementów politycznych. Te ostatnie sprawy były bardziej eksponowane, gdy nasza organizacja zakładowa wspomagała działalność „Solidarności” na szczeblu regionalnym i krajowym.

Działalność NSZZ „Solidarność” przy Politechnice Wrocławskiej, jak sądzę, można ocenić bardzo pozytywnie. Dotyczy to szczególnie spraw socjalnych, poprawy warunków pracy i ochrony zdrowia, ochrony zatrudnienia i spraw pracowniczych oraz w pewnym zakresie spraw płacowych. Nie udało się jedynie poprawić złej sytuacji płacowej pracowników Politechniki Wrocławskiej. Jest to jednak problem wszystkich polskich uczelni. Można go załatwić tylko na szczeblu centralnym. Jest to więc niepowodzenie nie tylko nasze, ale całego naszego Związku, jak i innych związków zawodowych.

Do osiągnięć naszej organizacji zakładowej zaliczyłbym wypracowanie stylu pracy polegającego na dążeniu do współpracy nie tylko z tradycyjnymi sojusznikami, ale i przeciwnikami. Oprócz szerokiej współpracy z innymi organizacjami zakładowymi naszego związku podjęto kontakty z innymi związkami i organizacjami pracowniczymi i emeryckimi działającymi przy Politechnice oraz z władzami naszej Uczelni. Dobrze układała się współpraca organizacji zakładowej z organizacją regionalną i ogólnopolską.

Ocena działalności NSZZ „Solidarność” na szczeblu regionalnym i krajowym jest dla mnie o wiele trudniejsza, gdyż znam ją w znacznie mniejszym stopniu niż działalność organizacji zakładowej, a poza tym jest to w przeważającej części działalność o charakterze społeczno-politycznym.

Działalność tę oceniam również pozytywnie, choć zdaję sobie sprawę, że wiele osób ma uwagi krytyczne. Sądzę, że to dzięki „Solidarności” przemiany gospodarczo-polityczne stały się faktem. Należy jedynie zastanowić się, czy można było osiągnąć więcej. Zapewne tak, choć trzeba pamiętać, że na naszych oczach dokonana się rewolucja. Mimo że odbywała się bez rozlewu krwi, pociągała za sobą – jak każda rewolucja –

hałas, przejściowe zawirowania i tragedie ludzkie. Rewolucja ta dotyczyła nie tylko przemian społecznych i politycznych. Doprowadziła do przemian w mentalności ludzi, co zwykle jest procesem wieloletnim. Kształtowanie nowych postaw wciąż jeszcze trwa.

Nic więc dziwnego, że w naszym społeczeństwie wiele osób jest przekonanych o wyższości zasady „biednie ale po równo” nad zasadą „aktywni i profesjonalści mają więcej”. Wiele osób pragnie zachować uprzywilejowane pozycje z minionych lat i wreszcie znaczna grupa pragnie nieuczciwie wzbogacić się w burzliwym i nie zawsze kontrolowanym okresie przejściowym. Na krytyczną ocenę przemian wpływają często duże rozbieżności między zarobkami a ofertą rynku. Nie bez znaczenia jest też opiniotwórcza rola ogromnej większości środków masowego przekazu kierowanych przez osoby wywodzące się z kręgów obecnej opozycji parlamentarnej.

Społeczna ocena przemian byłby zapewne lepsza, gdyby rządzący, wywodzący się głównie z nurtu „Solidarności” mieli większe doświadczenie w rządzeniu, byli bardziej profesjonalni w kierowaniu ogromną maszyną urzędów i urzędników państwowych. Już wkrótce okaże się, czy dany im czas umieli wykorzystać dla nabycia tych profesjonalnych umiejętności, których przecież nie mogli zdobyć w dawnym systemie.

Moim zdaniem czas rewolucji mija. W czasach pokojowych działalność polityczna to nie burzenie, a budowanie. Do tego potrzeba osób potrafiących zarządzać, słuchać kompetentnych doradców prawnych i gospodarczych oraz biegle posługujących się socjotechniką.

Z okazji 20-lecia utworzenia „Solidarności” życzę mojej organizacji wszelkiej pomysłowości i sukcesów. Mam również nadzieję, że doświadczenia minionych lat, szczególnie ostatnich, pozwolą politykom wywodzącym się z „Solidarności” na doprowadzenie do zgodnego działania na rzecz osiągnięcia wytyczonych celów, na umiejętne korzystanie z profesjonalnych doradców oraz na poświęcenie większej uwagi roli rzetelnej informacji rozpowszechnianej przez środki masowego przekazu. □

Stanisław Jabłonka

To już dwadzieścia lat? Prawie niemożliwe!!!

(nie całkiem luźne wspominki przy herbacie)



Stanisław Jabłonka, lat 63, dr inż. chemii, pracownik Instytutu Chemii Fizycznej i Teoretycznej.

W latach 1980–1989 przewodniczący KO NSZZ "S" w I-4, aktywny w stanie wojennym w uczelnianych i regionalnych strukturach związku. W 1991 nadal jest członkiem KZ NSZZ "S" przy Politechnice Wrocławskiej. W 1991 i 1993 r. kandydował do Senatu RP z listy NSZZ "Solidarność". Od 1992 delegat na Zjazdy Regionalne NSZZ "S" regionu Dolny Śląsk, a także delegat na Zjazdy Krajowe związku. W 1989 został przewodniczącym zarządu Fundacji im. Brata Alberta we Wrocławiu.

Życie biegnie swoim tempem, raz mija nam za szybko, innym razem – za wolno. Przyznaje, jestem zaskoczony, że od tamtych gorących dni mija już dwadzieścia lat.

Przypominam sobie, jak do tego doszło.... Stawiam pytania: o co wówczas chodziło, jakie były szanse: te uświadomione i nie-uświadomione (choć z perspektywy lat – możliwe do oszacowania) na zmianę obrzydliwego systemu, który z obcego nadania, ale realizowany rękami rodaków trwał zbyt dłu-

go. Chcę znaleźć odpowiedzi na kwestie: co osiągnęliśmy, z czego należy cieszyć się i na co patrzeć z optymizmem, a w jakich to dziedzinach odczuwa się niedosyt, nawet zawód?

Pod koniec lat siedemdziesiątych tzw. opozycja demokratyczna (niektórzy intelektualisci), a szczególnie tzw. „masy” (czyli większość społeczeństwa stroniąca od teoryjek, żyjąca po bożemu, choć skromnie, w miarę wg reguł Dekalogu i zdrowego rozsądku) zdawały się odczuwać przesyt pozorami i nachalną, jałową propagandą, robioną przez część tzw. elit (z legitymacją, choć była i taka część „przynależnych”, a bez legitymacji), a także „prostaczków” z legitymacją. Powiedzmy sobie prawdę – to polskie elity władzy próbowały reszcie robić „wodę z mózgu”. Nie zwalajmy wszystkiego na *ruskich*, choć mają swój wielki w tym udział. To polscy historycy pisali bajeczki historyczne, to polscy dziennikarze pisywali „co kazano” po gazetach, to polscy twórcy robili filmy o „dialektycznie uzasadnionych faktach historycznych”. Za wyjątkiem nielicznych. Tymczasem coraz więcej ludzi odczuwało rozbieżność pomiędzy oficjalnie głoszonymi hasłami a rzeczywistością. (Niczym u Majakowskiego: *co innego mówimy, co innego myślimy*, czyli w praktyce: *co innego mówimy, co innego robimy*). Ludzie mieli dosyć „walki klas” i innych głupstw. W życiu codziennym dominowały: obojętność z wyboru, strach, przyzwolenie dla „bylejakości”. Środowiska opozycyjne były nieliczne, z reguły ukryte, mało widoczne.

Wybór kardynała Karola Wojtyły na papieża, Jego „non abiate paura” – „nie lękajcie się” – wypowiedziane w czasie pielgrzymki do Polski – przebudziły Polaków. To był najważniejszy impuls do zmiany zachowań. Uświadomiono sobie, że walką przede wszystkim można burzyć, budować –solidarnością. Już na wiosnę '80 w wielu

środowiskach, w wielkich skupiskach ludzi (duże miasta, duże zakłady pracy, zwarte społeczności lokalne – np. górale) coraz częściej, coraz śmielej wypowydano własne zdanie, także w sprawach publicznych, jakże często odmienne od bieżącej propagandy, od bieżącej linii politycznej. Dla wielu Czytelników pamiętnym przykładem przemian z tamtego czasu będzie przebieg zebrania sprawozdawczo-wyborczego Związku Nauczycielstwa Polskiego przy Politechnice Wrocławskiej, jakie odbyło się w marcu 1980. Można je określić jako „pierwsze para-niezależne zgromadzenie przedstawicieli pracowniczych Politechniki Wrocławskiej”. Oczywiście jego przebieg nie kontentował „komitetów miejscowych ni wojewódzkich”. Wielu delegatów, uczestników tego zgromadzenia, było później założycielami NSZZ „S”.

Lipcowe wydarzenia pod Lublinem w 1980, a następnie trochę przypadkowo rozpoczęty strajk w Stoczni Gdańskiej, konsekwentnie prowadzony przez coraz odważniej podnoszących czoło ludzi (choć wielu z nich pamiętało bestialskie mordy w 1970 r. na Wybrzeżu) stały się zarzewiem protestów w całym kraju. Można to wszystko określić ziarnem buntu, ziarnem rodzącym potrzebę godnego życia, ziarnem, które padło na podatny grunt, na grunt zmęczenia „zakłamaniem, bylejąkością”. Ale wyrastało ono też z poczucia, że „papież jest z nami” i... bycia razem, solidarności. Coraz częstsza była też wiedza, że „ruscy biorą baty w Afganistanie”. Były oczywiście i inne przesłania prowadzące w podobnym kierunku, jak książka „Rewolucja bez rewolucji”. Sądzę jednak, że ta wizjonerska praca nie mogła być impulsem przemian, bo nie miała wówczas zbyt wielkiego zasięgu.

To właśnie teraz mija owe 20 lat od dnia, gdy komuniści podpisali, co w danej chwili podpisać musieli. Jak wiadomo, zrobili to bez zamiaru respektowania własnych podpisów (jak zwykle zresztą), za to w imię dalszej obrony prywaty „grona kołesiów”. (Tzw. ideologiczne podstawy systemu zawsze były bujdą „dla zmylenia przeciwnika”). I nastało 16 miesięcy nadziei – czas trudnych wyborów, sporów, utarczek, ale w kierunku wyznaczanym przez nadzieję, odpowiedzialność i rozsądek. Jednocześnie trzeba było się zmagać z prowokacyjnymi działaniami przygotowywanymi przez władze. Ale było nas po-

nad 10 milionów, nie licząc sympatyków, których zliczyć nie sposób. A potem....

13 grudnia zgotowano nam noc hańby narodowej. Władza (która kłamstwo miała w swej naturze) zdobyła czas na przygotowanie działań zastępczych, i tym razem porównanych. Trudne lata osiemdziesiąte (82-89) to okres dalszego sychania Polski ku trzeciemu światu, lata stracone z punktu widzenia wszelkich norm funkcjonowania kraju. Kilka milionów Polaków z owej dziesiątki straciło nadzieję, kilkaset tysięcy wyemigrowało (z czego znaczny procent to osoby wykształcone). Czy przyjdzie kiedyś czas sprawiedliwego osądu ludzi odpowiedzialnych za „stracone lata”?

I nastała parada „okrągłego stołu”. Co drugie słowo w ustach komunistów to teraz demokracja (już bez przymiotnika „socjalistyczna”). Nawet próbowano później dowodzić, że przeobrażenia w Polsce to wybitna zasługa Jaruzelskich, Kiszczaków....

Chcę tu powiedzieć, że obok postaw solidarnych uwidoczniło się wiele oznak nowej hipokryzji, obłudy, w czym szczególnie udział mają znów ci sami. Przykładem mogą być m.in. do dziś znajduwane różnice pomiędzy zapisanymi i wydanymi drukiem ustaleniami „okrągłego stołu”, a bieżącą rzeczywistością. Do dziś wiele zapisów pozostaje jeszcze „pustych”. Dopiero teraz zaczynają się pojawiać pierwsze publiczne orzeczenia: o nielegalności stanu wojennego, o nielegalności WRON, o nielegalności zawieszenia działalności „S”, o nielegalności delegalizacji Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich....

W tym miejscu chcę przypomnieć pewien fakt związany z Politechniką Wrocławską – fakt rzadko eksponowany, a znamienny. Działająca podziemnie w stanie wojennym (do 11 listopada 1989 r.) „Solidarność” kierowana przez Uczelnianą Komisję Koordynacyjną nigdy nie zrezygnowała ze swej niezależności. Kiedy w 1989 r. w wielu zakładach pracy, również Dolnego Śląska, członkowie NSZZ „S” podpisywali nowe deklaracje przystąpienia do Związku, z „nowym” statutem, na Politechnice członkowie „S” potwierdzali ciągłość przynależności do niezależnego Związku ze statutem z listopada 1980 i deklarowali chęć kontynuacji członkostwa w takim związku. Jest to jedyny przypadek trwania przy koncepcji ciągłości NSZZ „Solidarność” przez zakład pracy na

Dolnym Śląsku, może też i jedyny w Polsce. Tyle naszego.

Jeszcze wczesną wiosną '89, jakby z podziemia dochodziły wieści o jakimś tajnym „porozumieniu” w Magdalence, którego szczegóły do dziś nie zostały ujawnione (demokratycznie to, czy nie?), zbyt wiele spraw było niezrozumiałych, a mimo to – było niemal powszechne przyzwolenie na tzw. „okrągły stół”, któremu to później (słusznie czy niesłusznie?) przypisano m.in. hasło: „Uwłaszczyć nomenklaturę”. Zostało ono bardzo szybko wprowadzone do praktyki życia codziennego. Tylko nieliczni zadawali sobie pytanie: „czy to jest cena naszej wolności, cena przetargu o godność i życie, by nas znów nie zabijali?”

Początki przemian były dziwne. Po wyborach w 1989 r. nie podjęto w dostatecznym stopniu porządkowania spadku po tzw. socjalizmie, którego zasadniczym elementem powinno być nazwanie i osądzenie wykroczeń samej władzy, która niejednokrotnie działała nawet wbrew stanowionym przez siebie prawom. Zamiast tego nastąpiły zbyt liczne przykłady „bratania się” z niedawnymi ciemniejszymi, odcinano przeszłość „cienkimi” i „grubymi” kreskami. Może intencje wypowiedzenia tych słów o zapomnieniu przeszłości były wzniosłe i szlachetne (?), ale zostały szybko nadużyte. Wpływowe środowiska obłudników i błaznów pokazały, co potrafią.

Zamiast doktrynalnego „państwowe jest lepsze” pojawiła się nowa doktryna głoszona tymi samymi ustami: „prywatne jest lepsze” (w domyśle – dobro sprywatyzowane, przejęte, nie koniecznie skumulowany dorobek rodziców, dziadków, pradiadków). Znanym negatywnym przykładem jest prywatyzacja pierwszych sześciu najlepiej prosperujących zakładów przemysłowych w Polsce – z najnowocześniejszym zakładem celuzowo-papierniczym w Europie – w Kwidzynie. Dziś na liście nierozważnie wyprzedanych są już setki zakładów. A cóż to za gospodarz sprzedaje obcym(?), za bezcen, najlepszą „krowę” – tylko w imię nowej doktryny? Bo nie było to przecież objawem gospodarności, ni troski o dalsze losy państwa i kiesy państwowej. Czy później było lepiej? Kto dziś potrafi wskazać jakiś zakład przynależny do NFI (Narodowe Fundusze Inwestycyjne – jak to pięknie brzmi!) nie przynoszący strat? Jak

długo jeszcze musimy się borykać z finansowymi i ludzkimi stratami? A że są również przykłady wyraźnego rozwoju niektórych dziedzin działalności gospodarczej, szczególnie tej niewielkiej i średniej? Za główną przyczynę takich zmian można uznać zanik lub wyraźne ograniczenie zakazów tak charakterystycznych dla totalitaryzmów.

Było kilka pomysłów, co zrobić z kulejącą gospodarką: powszechne uwłaszczenie, własność pracownicza, sprzedawać tzw. majątek narodowy? Dwa pierwsze pomysły – sprawdzone w cywilizowanym świecie – zostały ośmieszone. (A kto to mógł być zainteresowany w ośmieszaniu? Albo kandydaci na łatwych właścicieli, albo „reformatorzy” – piewcy własnych teorii głoszonych częstokroć z wyżyn uniwersyteckich katedr.) Absolutną przewagę zdobyła trzecia, usilnie nagłaśniana opcja (dobrze komponująca się z hasłem „uwłaszczyć nomenklaturę”), bo sprzedaż majątku była głównie, i dalej jest, sposobem na łatanie dziur w budżecie państwa. Dziś już chyba za późno, by w sposób znaczący odmienić bieg wypadków.

I co nam zostało? Co teraz? Pozostało niepowszechne jeszcze przekonanie, że demokracja jest wartością. Reguły demokratyczne stosowane i weryfikowane są na codzień jedynie w strukturach Związku, bo udział w wyborach powszechnych raz na cztery lata, przy pokrętnej ordynacji wyborczej (zwanej – chyba dla zmylenia – „proporcjonalną”) oraz przy panoszącej się w okresie między wyborami regule „róbta co chceta” nie zachęca do powszechnego uznania demokracji za dobrą regułę. Teraz tym bardziej warto zabiegać o „okręgi jednomandatowe” w ordynacji wyborczej. W tym względzie nie jestem optymistą – za wielu jest z lewa i z prawa zwolenników bieżącej ordynacji.

Pozostała nadzieja płynąca z nauk papieża-Polaka. Zawierają one niezniszczalne dobro, które się rozwija, i niesie dalszą nadzieję. Nadzieję budzi też doświadczenie tak wielu już lat, że solidarność się buduje, walką się niszczy.

Czy dużo jest jeszcze do zrobienia? Bardzo dużo. To dwudziestolecie jest zaledwie częścią czasu doświadczeń i pracy potrzebnego na odbudowę zniszczeń w mentalności ludzi, w strukturze gospodarki. Bądźmy jednak pogodni. Z natury, lub choćby tylko z wyrachowania. □

Ryszard Wroczyński

Trudno jest pisać o uczuciach...



Ryszard Wroczyński, lat 53, dr inż. elektronik, pracownik naukowo-dydaktyczny w Instytucie Telekomunikacji i Akustyki Politechniki Wrocławskiej.

Działacz podziemnych struktur „Solidarności”, od 1989 r. członek Prezydium Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” przy Politechnice Wrocławskiej. Delegat na Walne Zebranie Delegatów Regionu Dolny Śląsk. W 1992 roku wybrany na wiceprzewodniczącą Komisji Zakładowej ds. Pracowniczych. W 1989 r. delegat Komisji Zakładowej na Zjazd Krajowej Sekcji Nauki NSZZ „Solidarność” i członek Komisji ds. Płac tej sekcji. Obecnie przewodniczący KZ NSZZ „S” przy PWr.

Trudno jest pisać o uczuciach, zwłaszcza inżynierowi. Trudno jest zabierać głos wśród uznanych autorytetów, zwłaszcza szeregowemu robotnikowi. Usprawiedliwieniem jest dwadzieścia lat, w czasie których każdego dnia **Solidarność** była dla mnie wyjątkowo ważna.

W 1980 roku pracowałem na naszej Uczelni jako asystent naukowo-badawczy (tzw. płatny ze zleceń). Przez osiem lat większość czasu spędzałem w laboratorium na konstruowaniu coraz doskonalszych wersji specjalistycznej elektronicznej aparatury pomiarowej. Niepracująca żona wychowywała dwie nasze małe córki. Codziennie wieczorami

odbywało się wspólne słuchanie i omawianie ulubionego „Radia Wolna Europa”. Czasami trafiały się niezależne wydawnictwa, które nawet jeśli zdobyte na własność, były natychmiast czytane. Dla nas obojga ta nieodparta potrzeba obcowania z niezależnym słowem i oparcia się na prawdzie zrodziła się dość nagle w 1968 roku. Pamiętam ten marcowy dzień kiedy prawie przypadkowo znalazłem się wśród kilku tysięcy moich koleżanek i kolegów w czasie strajku studenckiego i w każdej z oficjalnych gazet czytałem, że grupka rozwyrzonej młodzieży uniemożliwia prowadzenie normalnych zajęć dydaktycznych. Od tego dnia już nigdy nie mogłem pogodzić się z kłamstwem, choć nie starczało wiary w możliwość zmian. Próby naprawiania systemu „od środka”, popularne na początku lat siedemdziesiątych, były przecież tylko kolejnym kłamstwem. W tej sytuacji pozostawało jedynie budować mocny fundament zasad, dbać o zachowanie tradycji, zdobywać i przekazywać wiedzę.

A jednak w 1978 roku pojawiła się nadzieja, która wcześniej musiałaby być uznana za naiwność. Wreszcie rok 1979 i te najważniejsze słowa, tylekroć potem przytaczane i analizowane: „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi, tej ziemi”. Dla mnie w tym właśnie momencie powstawała **Solidarność**, choć jeszcze nie byłem w stanie przewidzieć, że właśnie tak będzie się nazywała.

Sierpniowy urlop 1980 spędzałem z rodziną we Wrocławiu. Od czasu pielgrzymki Papieża zaczął być w domu używany także telewizor, w którym z zapartym tchem śledziłyśmy przebieg wydarzeń. Podstawowym źródłem informacji pozostawało „Radio Wolna Europa”. W pierwszych dniach września pojechałem do pracy, aby zorientować się, jak na Politechnice powstaje Związek. Panował powszechny entuzjazm. Masowo wypełniano oświadczenia o rezygnacji z przynależności do Związku Nauczycielstwa Polskiego, do którego należała ogromna większość pra-

owników Politechniki i wpisywano się na listy Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego. Następne tygodnie to codzienne spotkania przy instytutowej tablicy **Solidarności**, przy której było tłoczno i przy której można było podyskutować z ludźmi znanymi często od lat, którzy nagle okazywali się bliżsi. Często zebrania wyborcze, na których nigdy nie brakowało quorum, bo wielu z nas pierwszy raz w życiu mogło doznać radości prawdziwego głosowania i oczekiwa-

nia na wyniki wyborów. To były pierwsze dni prawdziwego i żywego kontaktu z demokracją. Wszyscy wybrani najpierw do komitetów założycielskich, a potem do władz związkowych różnych szczebli cieszyli się powszechną akceptacją, sympatią i autorytetem. Oni przecież byli rzeczywiście wybrani demokratycznie!

Pierwszy niepokój pojawił się po dość zaskakującym odwołaniu strajku powszechnego zapowiedzianego w związku z wyda-

rzeniami w Bydgoszczy. Determinacja członków Związku wywołana tymi wydarzeniami osiągnęła chyba najwyższy poziom w całym 1981 roku. Wszystkie przygotowania organizacyjne do strajku były zakończone, panowała atmosfera pełnej mobilizacji. Czuję, że musiały pojawić się jakieś zagrożenia, które doprowadziły w ostatniej chwili do odwołania strajku. Następne miesiące to jednak nadal pełen entuzjazm i silna wiara, że będzie można rozszerzać obszary naszego sukcesu. Aż nadeszła ta straszna grudniowa noc. Z szeregowego, oddanego bez reszty robotnika **Solidarności** trzeba było stać się Jej szeregowym żołnierzem. Buławy marszałkowskiej w moim plecaku jednak nie szukałem. □

*W lokalu NZS (bud. D-1, pok. nr 10) – październik 1980
Przy powielaczu Marek Wierciński (PPT)*



Fot. Witold Machalski

Wydawca: KZ NSZZ „Solidarność” Politechniki Wrocławskiej
Redakcja: Maria Kiszka. Zdjęcie na okładce: Bartosz Sadowski
Drukarnia Oficyny Wydawniczej PWr. Nakład 500 egz.

Druk do użytku wewnętrznego

ZA KOMUNY BYŁO LEPIEJ!



40 LAT NIEWOLI

SOLIDARNOŚĆ
WALCZĄCA

Logo obchodów 20-lecia KZ NSZZ „Solidarność”



Projekt – Bartosz Jabłonka